

**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI**

WALIGÓRA

Józef Kraszewski

Waligóra

«Public Domain»

Kraszewski J.

Waligóra / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Przenosimy się do roku 1226 i 1227, gdzie spotykamy dwa skonfliktowane rody — Odrowążów i Gryfitów. Tytułowy bohater, Waligóra, jest przedstawicielem tego pierwszego i bratem biskupa krakowskiego, Iwona Odrowąża. Przedstawicielem rodu Gryfitów jest Jaszko, wichrzyciel i spiskowiec. Śledzimy ich wędrówki po kraju i poznajemy Polskę okresu rozbitcia dzielnicowego — bywamy w dworach książęcych, siedzibach możnowładców, gospodach i salach sądowych, a ostatecznie jesteśmy świadkami pogłębienia się kryzysu w kraju podczas zjazdu książąt w Gąsowie. Waligóra to kolejna powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego wchodząca w skład cyklu historycznego Dzieje Polski. Autor ponownie przedstawił nam galerię interesujących postaci, wielką politykę i wątki miłosne.

Содержание

Том I	5
I	6
II	14
III	22
IV	31
V	39
VI	46
VII	54
Конец ознакомительного фрагмента.	57

Józef Ignacy Kraszewski

Waligóra

Tom I

A. PŁUGOWI

*staremu druhowi, w dowód najgłębszego szacunku dla człowieka
i pisarza, dla charakteru i talentu, dla złotego serca jego powieść tę przesyła*
Autor.

Drezno.

d. 25 Września 1879 r.

I

Gęstwiną puszczy odwiecznej, która niepewną granicę krakowskiej ziemi od Szlązka zalegała, drogą wijącą się między wybujalimi drzewy, za wałami i moczary – dziką, i zdającą się czasem ginać wśród zarośli i kłód przez wichry obalonych – sunął powoli, wśród uroczystej ciszy jesiennego pogodnego wieczora, długi orszak, któryby za processję kościelną wziąć było można, gdyby wszyscy udział w nim mający zamiast iść pieszo nie jechali konno...

W pośrodku prawie tego szeregu duchownych i rycerzy, dworzan, pachołków i służby najrozmaiciej poprzybieranej i zbrojnej, widać było podeszłego wieku mężczyznę, w którym, łatwo było poznać wysokie w hierarchii duchownej zajmujące stanowisko prałata. Z poszanowaniem otaczali go wszyscy, jechał jakby odosobniony, a wieczorne światło pięknego dnia na schyłku, oblewało twarz jego poważną łagodną aureolą.

Oblicze to było wpośród wszystkich obok niego i za nim widnych wśród zarośli, szczególnie piękne i wysłachetnione a opromienione świętością wielką i myślami wielkimi.

Pomimo wieku, twarzy spokojnej marszczki prawie nie pofałdowały, zachowała młodzieńczą świeżość i siłę... Na pięknym czole rozjaśnionem, wyniosłem, nie było śladu ziemskiej troski, oczy poglądały z męztwem wielkim i dobrocią, na ustach był uśmiech łagodny, a słodycz łączyła się tu tak z siłą i ufnością w nią harmonijnie jednocząc, iż cześć obudzał mąż ów a miłość zarazem...

Lekki płaszcz okrywał szerokie i wiekiem jeszcze niezgięte ramiona, a z pod niego widać było biskupie szaty, krzyż na łańcuchu u piersi i białą raketę, która w podróży dziwną się zdawać mogła, lecz była oznaką dawnego ślubu zakonników Ś. Wiktora...

Na powolnym, ciężkim i silnym koniu jechał prałat ów, rzuciwszy mu cugle na szyję, koń nawykły widać do tego, sam sobie drogę wybierał, szedł swobodnie i śmiało, z głową spuszczoną, – a jadący wcale się oń nie troszczył. Oczy miał wlepione w niebo, usta poruszały się modlitwą, zdawał się oderwany od ziemi.

Wszyscy też za nim powolną stępią jechali, była to godzina niesporów i modlitwy wieczornej, które czasu nie tracąc, odprawiano w drodze.

Jadący w pewnym oddaleniu od Biskupa kantor z księgą otwartą w rękę, śpiew intonował, inni mu głosy zgodnymi odpowiadali... Duchowni mieli podkrywane głowy lub lekkimi czapczkami tylko osłonięte, reszta szyszaki i kołpaki zdjęte wiozła w rękach. Na twarzach wszystkich malowało się pobożne usposobienie i przejęcie modlitwą.

Konie nawykłe pewnie do śpiewu, znając że im przystało stąpać powoli i cicho, kroczyły niby odpoczywając i ledwie się ośmielił który chwycić zieloną gałąź, gdy mu się jak pokusa pod pysk nawinęła. Chrzęst zbroi żelaznych i mieczów mało co przerywał górą niosące się głosy, w których brzmiał pobożny zachwyt i wielka gorącość ducha.

Wiek to był takich namiętnych uniesień ku niebiosom, cudów i extaz wielkich...

Orszak towarzyszący prałatowi w tej podróży dosyć był mnogi i sam już dostojność jego oznaczał. Nie było w nim błyskotliwego przepychu, ani coby na okaz oczom ludzi służyło, ale dostatek pański i skromna trwała zamożność, z jutrem się licząca, ludziom i koniom dworu nadawała cechę właściwą. Dwór jak pan czuł się bezpiecznym a pewnym siebie. Twarze zdały się dobrane tak by jedną rodzinę duchową składały. Jeżeli nie braterstwo krwi to powinowactwo myśli i obyczaju ich łączyło.

Coś z tej świętej pogody przodującego wszystkim biskupa, zlewało się na jego drużynę. Wprawdzie rysy były różne – lecz jak skąpane w jednym strumieniu łaski.

Gdy chwilami pieśń ustała, szumiący cicho las zdał się ją pokornem echem powtarzać. Ostatnie promienie blizkiego już zachodu słońca wdzierając się w puszcę gęstą i ciemną złociły wierzchołki drzew, a niekiedy przerzynały się i spływały po gałązkach i obnażonych konarach aż ku ziemi. Czasem promyk taki złocisty zabłysnął na ramieniu zbrojnego męża, na czarnej sukni którego

z duchownych, na szyszaku spartym o kark konia; na zwieszanej u ramienia małej tarczy, której gwoździe połyskiwały chwilę i wnet nikły w półcieniach.

Nareście intonujący pieśń ostatnią zamknął księgę, którą trzymał przed sobą, a z ust całego orszaku ozwało się powtórzone głosem podniesionym:

– Amen.

Biskup przeżegnał się i jakby po modlitwie potrzebował spoczynku, jechał czas jakiś milcząco.

Poza nim wśród zbrojnych dworzan, czeladzi i pacholków ciche szepty zwolna się słyszeć dały. Zdawano się naradzać i jedni jeźdźcy przystawiali dla rozmowy z drugimi, inni pochylali ku sobie z cicha coś pomrukując.

Zbrojni mężowie wkładali na głowy szyszaki i kołpaki, konie trochę żywiej poruszać się zaczęły i łby popodnosiły.

Puszczą z obu stron wciąż się wznosiła gęsta i wyniosła, – wspaniała rozrostem swobodnym i siłą którą z dziewiczej ziemi czerpała; lecz droga niekiedy tak się stawała wąską że orszak się rozsuwać musiał i przedłużać.

Wtem po prawej ręce jadących, gąszcz zrzędniała, rozsunięły się drzewa i polanę zieloną dostrzeżono, którą twarze wypatrujących czegoś zdala, powitały weselszym wejrzeniem.

W teże chwili prawie, Biskup konia zwolna idącego, który podniósł był głowę i powietrza nozdrzami zaczerpnął – zatrzymał i zwolna głowę odwrócił szukając kogoś poza sobą.

Zgadując jego myśl podbiegł ku niemu w sile wieku mąż zbrojny, pięknej postawy, starając się uprzedzić pytanie. Oko jego przypadkiem padło pomiędzy drzewa i przystanął zdumiony. Dostrzegł dopiero wśród polany jakby rodzaj obozowiska, które równie go jak Biskupa zdumiało...

Stanęli wszyscy jadący i ścisnęli się w gromadę.

Biskup patrzył i ręką na dolinę wskazywał. Zbrojny mężczyzna spoglądał też, ale wejrzenie jego badało próżno widok który się przedstawiał, nie mogąc sobie sprawy zdać z niego.

Na zielonej polanie u skraju lasu, nieopodal od jadących rozbity był namiot biały z powiewającą nad nim chorągwią białą, oznaczoną krzyżem czarnym. – Za nim u żłobów płóciennych żywiły się właśnie silne i rosłe konie. Widać było rozpalone ognisko, około niego kilkunastu uzbrojonych olbrzymiego wzrostu ludzi, których rycerskie rzemiosło odgadnąć było łatwo. U namiotu na pniach siedziało osobno dwóch starszyny, za których ramion płaszcze białe z krzyżami czarnymi spływały...

Krzątano się około namiotu i ogniska.

Biskup patrzył chcąc jakby przypomnieć coś sobie i po chwili się uśmiechnął. Właśnie zbrojny który ku niemu przybiegł miał się puścić naprzód aby dostać zapewne języka, gdy duchowny dał mu znak...

– Są to Bracia szpitalni, Maryi Panny, niemieckiego domu! Widziałem ich z temi płaszczami w Rzymie... lecz zkaż się tu u nas wzięli?

– Mamli jechać popytać? – odezwał się zbrojny.

– Nie będzie to potrzebem – rzekł Biskup łagodnie, – nie mogą to być inni tylko wysłańcy Zakonu, po których brat Pana naszego, Konrad Mazowiecki posyłał... Zboczyli pewnie z drogi, a jam rad że ich zobaczę i rozmówię się z niemi...

Z ciekawością przez gałęzie przypatrywali się jeszcze towarzyszący Biskupowi, – małemu obozowisku, gdy pasterz dał znak, i wszystko z miejsca ku dolinie się poruszyło.

Tentent koni i szcęk oręża teraz dopiero zwrócić musiał uwagę obozujących, którzy trochę niespokojnie skupili się. Dwa płaszcze białe podniosły się, poglądając ku lasowi. A wtem i Biskup a z nim drużyna jego cała wysunęła się z gąszczy i podjechawszy nieco, gdy cały orszak wydobył się z nich, – stanęła.

Kilkaset kroków zaledwie dzieliły dwie owe gromadki; lecz dzień jeszcze był biały, jasny, obie się sobie dobrze mogły przypatrzeć.

I z szat i z orszaku musieli domyśleć się obozujący dostojnika kościelnego, pierwsi poruszyli się i po krótkiej naradzie, dwa białe płaszcze poczęły się zwolna zbliżać do stojącego na koniu Biskupa, który czekać na nich postanowił.

Lepiej im teraz mógł się przypatrzeć.

Dwaj rycerze, którzy jeszcze zbroi z siebie zrzucić nie mieli czasu, a szyszaki nieśli w rękach, byli to wzrostu ogromnego, silni i barczyści mężowie, jakby stworzeni do swojego rzemiosła, które im z oczów patrzyło.

Nie wiele po nich zakonu i zakonnego widać było ducha i gdyby nie owe płaszcze, a na nich krzyże trudno się kto mógł domyśleć braci ślubami pobożnymi związanej. Starszy z nich, który szedł przodem, bystre oczy czarne trzymał wlepione w Biskupa, a choć z krzyża i sukni mógł poznać w nim wysokiego dostojnika Kościoła wcale pokornej nie przybierając postawy, rosnął w butę powoli idąc ku niemu. Drugi postępujący za nim, jaśniejszego włosa, twarzy płomienisto czerwonej, dzikiego wejrzenia, szedł też z dumą głowę podnosząc.

Zbliżali się rozpatrując jakby do równego sobie; a że niepewni być mogli z kim do czynienia mieli, dla uprzedzenia ich o tem zsiadłszy prędko z konia, którego pacholek pochwycił, podszedł zbrojny dworzanin biskupi szybkim krokiem ku nim i pozdrowiłszy – już na widok jego zatrzymujących się Braci niemieckiego domu, rzekł:

– Książdz Pasterz nasz krakowski, Iwo...

Czarnowłosa poruszył głową, dając znak idącemu za nim rudemu, i nie odpowiedziawszy na to oznajmienie, kroczyć zaczął znowu do stojącego na koniu Biskupa...

Dawszy im podejść nieco – Biskup ręką ich pozdrowił naprzód, na co lekkim skinieniem głowy odpowiedzieli...

Iwo przemówił po łacinie.

– Bywajcie mi pozdrowieni, bracia mili a goście. Kędyż to was wiedzie ta droga?

– Do Płocka jedziemy wezwani przez księcia Konrada – odezwał się niepewną trochę łaciną, czarny. – Chcieliśmy kraj poznać i nakładamy w podróży...

To mówiąc ręką dotknął zbroi i mianował się:

– Konrad von Landsberg Miles hospitalis S. Mariae Hierosol. – Potém wskazał na towarzyszącego mu rudobrodego i dodał:

– Otto von Saleiden!

Ten skłonił nieco głowę, ale ją podniósł natychmiast.

– Żeście braćmi tego zakonu, który się niegdyś wślawił i męztwem przeciwko niewiernym i miłosierdziem dla ubogich pielgrzymów – rzekł Biskup, – poznałem zaraz ze znamienia jakie wam Ojciec nasz, Papież a Biskup rzymski dał dla odznaki od Templarjuszów i Braci Johannitów... Bądźcie pozdrowieni na ziemi tej, dzieci moje... i niech Bóg w niej orężowi waszemu błogosławi...

Słyszeliśmy że książę Konrad nadać wam miał piękny kraj Chełmiński aż po granice Prusów...

Konrad von Landsberg zwolna postąpił ku Biskupowi, a Otto jego towarzysz podszedł także.

– Tak jest – odezwał się pierwszy – ale chociaż Cesarskie na to mamy potwierdzenie i Ojca świętego – chcemy wprzód sami oczyma swemi obejrzyć posiadłość, aby nas tu ten los co w Węgrzech nie spotkał. Krwią to przyjdzie okupywać, więc trzeba znać za co ją mamy.

Biskup nie odpowiedział nic. – Upłynęła chwila.

– Rozbiliście widzę obóz na noc – rzekł jakby rozmowę zwracając – a ja też nie wiem kędy spocznę... bośmy pono z drogi się zbili.

To mówiąc obrócił się do stojącego i czekającego rozkazów zbrojnego.

– Co na to mówicie, Zbyszku?

Uśmiechnął się.

Zagadnięty zniżając głos odpowiedział.

– Sądzę że droga nie była błędna, dobrze nam ją przepowiedziano, lecz do Białej Góry dostać się nie łatwo... mało kto zna przystęp do niej... odległości ludzie dają różnie... Winniśmy byli stanąć na noc przy granicy, a dotąd jej nie widać...

Rozkażesz W. Pasterska Mość z młodszych którego posłać na zwiady??

– Gdybyś W. Pasterska Mość, – przerwał Konrad von Landsberg, – tymczasem ubogiej braci, namiotu chciał przyjąć gościnność...

Wskazał w stronę obozu...

Zawahał się Biskup, lecz niepewność ta krótką trwała chwilę, konia potrącił zlekka i poszeptał coś Zbyszkowi, sam w towarzystwie jednego duchownego ku namiotowi jechać zaczął.

Dwaj Bracia domu niemieckiego szli przodem prowadząc...

Biskup może nie tyle gościnności potrzebował jak wędrowcom się chciał przypatrzeć, nowym na tej ziemi na której jeszcze nigdy noga ich nie postała.

Mnożyły się naówczas zakony pobożne i rycerskie – milicja Rzymu i Kościoła. – W ziemi świętej powstałi dawniej Templariusze i Johannici, po nich Bracia szpitalu P. Maryi, mnisze reguły coraz nowe przybywały, sam Biskup Iwo widząc w nich krzewicieli wiary i pomocników najdzielniejszych Kościoła, wznosił klasztory Cystersom, Norbertanom, – wprowadzał Dominika bracią, a wkrótce i synowie Franciszka z Assyżu mieli przyjść ubodzy ubogi lud pocieszać.

Po dworach pańskich gdzie nie było rozpasania i dzikości, panowała pobożność niemal namiętna, a kobiety w niej mężczyźni wyścigały.

Cuda były chlebem powszednim, święci cudotwórcy roili i mnożyli się zbroje często zmieniając na kaptur i habit szorstki, secinami z ziemi wyrastały klasztory które nadawano bogato. – Pobożność stawała się upojeniem, zdało się że cały nawrócony świat chrześcijański szedł nie patrząc na ziemię z oczyma w niebo wlepionymi.

Kantykami na chwałę Bożą rozlegała się odradzająca Europa.

Pomimo to zepsucie było wielkie, okrucieństwa szalone, namiętności poskramiane budziły się i wybuchały tem gwałtowniej, a po nich sroga, krwawa, bezlitośna pokuta.

Niejeden płaszcz królewski okrywał włosienicą okrwawione ciało, niejeden wczoraj możny władca szedł nazajutrz pieszo i boso do Rzymu pokutnikiem, a powróciwszy do domu zabijał brata i znów przywdziewał pasek żelazny, chłostą dobrowolną okupując swoje grzechy.

Duchowieństwo wszędzie na wspólnie z panującymi rządziło, tak jak Cesarz rzymski na wspólnie z Papieżem władał światem, i tak samo ono ścierało się z władzą świecką jak Papież z Cesarzami, którzy złamani klątwami szli przebłagać a nazajutrz do nowego buntu się rwali.

W tej walce o panowanie nad światem Rzym się też w rycerstwo opatrywał, a lękając aby mu Biskupi nie wypowiedzieli posłuszeństwa, mnożył zakony wprost zależące od Apostolskiej Stolicy, zakony z których jedne szły z modlitwą i krzyżem, drugie z pobłogosławionym mieczem.

Do ostatnich należeli Bracia Szpitalni niemieckiego domu, dziś wypadkami wyrzuceni z Ziemi świętej. Niedawno jeszcze nie mnodzy i nie możni, w chwili gdy ich spotykamy już w Niemczech opatrzeni dobrze, rozsiedli, a przez wielkich zdolności i powagi Mistrza zakonu Hermana von Salza w łaskach Cesarskich, w opiece papieżkiej, w miłości wielkiej u rycerstwa niemieckiego.

Do Jerozolimy nie mogąc iść szukali właśnie miejsca w Europie, w którymby ślubom i powołaniu mogli zadość uczynić. Nastęrczało się ono tu na pograniczu pogaństwa, a nieopatrzność księcia Konrada Mazowieckiego dawała im ziemię na obozowisko, i wszystko co siedząc na niej podbić mogli...

Dwaj towarzyszący Biskupowi Iwonowi rycerze Konrad i Otto jechali właśnie opatrywać kraj w którym panować i wojować mieli.

Dano im orszak z osiemnastu olbrzymich pachołków zbrojnych, najroślejszych i najdzielniejszych jakich wyszukać w Niemczech można było; ciągnęli też za sobą czeladź liczną i wozów kilka...

Chociaż bracia zakonni na piersi noszący znak krzyża, dwaj Niemcy którzy wiedli Biskupa do namiotu swojego, ani obejściem się ni postawą niepodobni byli do pokornych mnichów, ani jak oni nie okazywali zbytniego poszanowania dla Biskupa; raczej go jako równego niemal sobie niż zwierzchnika zdając się uważać. Nawet wrażliwa wszystkim cześć twarz ks. Iwona i powaga jego na nich nie czyniła wrażenia.

W miarę jak się do namiotu zbliżał mógł się Biskup przekonać że te zakonu i zakonników suknie tylko i nazwisko ludzi ducha wcale nieklasztornego okrywały.

Knechty zebrane za namiotem patrzyły tak dziko na jadącego, jakby się nań rzucić były gotowe, a zamiast nabożeństwa za krzewy słyhać było wesołą pieśń światową rozlegającą się ze śmiechami.

U wniścia do namiotu samego, oprócz chłopiąt dwojga, którzy przy Konradzie i Ottonie służbę paziów sprawowali, postrzegł Biskup dwóch rycersko przyodzianych młodych chłopaków, swobodnie się rozglądających po okolicy, którzy ani płaszczów, ani żadnej oznaki zakonnej na sobie nie mieli.

Oba oni znać zamożnych rodzin dzieci, strojni byli wykwintnie, a twarze wesołe, uśmiechnięte, kipiące życiem, powiadały że się na tę wyprawę więcej dla zabawy niż z obowiązku wybrać musieli.

Tak było w istocie, bo gdy Biskup bliżej podjechał, dał znak brat Konrad aby przystąpili nieco, i rzekł wskazując na nich.

– A to są nowicjusze, którym się po dobrej woli zachciało nam towarzyszyć w tej wycieczce na północ, choć wątpię by z nich który myślał o ślubach zakonnych: mój synowiec Geron i Hans von Lambach...

Chłopcy którzy oczyma mierzyli przybywającego skłonili głowy i wnet poprawili trochę długich włosów które im na czoła i twarze opadły...

Pacholę wzięło konia z którego Biskup zsiadł powoli. Podniesiono wniście do namiotu i wprowadzono go by spoczął.

Na obozowisku w lesie, rycerskiem i zakonnem nie wiele się spodziewać było można, namiot zdumionemu nieco Biskupowi, nawykłemu do bardzo skromnego żywota wydał się do zbytku zaopatrzony we wszystko czego i po pałacach naówczas nie było znaleźć łatwo. Skóry i kobierce pokrywały naprędce urządzone siedzenia, stały przy nich dzbany i kubki srebrne, zbroi wykwintnej było do zbytku, i na lutni nawet nie zbywało. Wszakże sam Mistrz zakonu Herman von Salza słyhał niegdy jako śpiewak i poeta, w pieśniach się kochano, więc i błędni rycerze lutnię z sobą wozili, aby po drodze nuceniem się rozrywać.

Za to księgi do modlitwy, ani żadnego znaku pobożności pod namiotem Biskup nie dostrzegł. Trochę smutku powiało po jego czole, lecz myśl je jakaś prędko wypogodziła.

Starszy z braci Konrad gospodarzyć począł pod namiotem i krzątać się aby przyjąć gościa. Lecz było dzień piątkowy, a Biskup Iwo surowym postem nawet w podróży go obchodził, podziękował więc za ofiarowany posiłek, prosząc o kubek wody i kawałek suchego chleba.

– Zgorszysz się z nas, miłość wasza, – rzekł słysząc to Konrad i uśmiechając się lekkomyślnie – my potrzebując sił do boju, a w drodze będąc dyspensujemy się od postów.

– Rzec to waszego sumienia i reguły której ja tak dalece nie znam, – odparł Biskup – jak skoro nie grzeszna pożądlivość a potrzeba powołania zmusza do tego...

Uczynił znak ręką i nie mówił więcej. – Nieco opodal przysiadł na pieńku Konrad i ocierając czoło – ciągnął dalej:

– Ogromneż to pustynie! Wszakby one dziesięć kroć by więcej ludu wykarmić mogły niż go mają! Lasy i lasy którym nie ma końca. Ledwie jedne się skończyły, juści drugie poczynają. Dla wojujących to niedogodna rzecz te puszcze i bagna. – Nieprzyjacieli w nich jak w twierdzy się kryje... a rycerstwo łatwo przepada...

Lada zasię w lesie... Wojna ta ciężką być może, choćby i z dziczą, a pierwszą pono rzeczą by się tu utrzymać – trzebić i ciąć.

– Tak – rzekł powoli Biskup Iwo – trzebiemy my też i wycinamy powoli, aliści las ten nie darmo nam dała Opatrzność, to nasza śpizarnia i skarbiec. Tu niehodowanego mamy zwierzka podostatkiem,

tu nam niezliczone pszczoły miód na pokarm a wosk dla kościoła zbierają... z tego lasu chata i wóz i socha i wszystko...

– Dla dzikiego jak ten ludu pewnie – odezwał się Konrad, – las jest skarbnicą, ale nie wyjdzie ze swej dzikości dopóki te lasy nie padną...

Biskup westchnął i wskazując ręką w dal, dodał.

– Wieki temu nie podołają... Tymczasem na te ręce co mamy, pola dosyć!

I pobłogosławił jakby cały ten kraj pustynny przed sobą.

Wszyscy z natężoną uwagą słuchali mówiącego Biskupa, – towarzysz Konrada i dwaj młodzieńcy stojąc we drzwiach namiotu, kilku knechtów zbliżających się do nich ukradkiem. – Iwo mówił powoli z tym spokojem jaki daje wiek, doświadczenie i wielka wiara w Bożą Opatrzność.

– Jeżeli się wam te kraje któreście jadąc tu przebywali, pustynnami wydały, nad którymi już od dwóch wieków krzyż Chrystusowy świeci, coż dopiero te które zająć macie?? Tamci jeszcze pogaństwo trwa, którego i pobożny Biskup Chrystjan wykorzenić nie mógł, ani mnodzy apostołowie przez niewiernych pomęczeni.

– Boć ich nie krzyżem ale mieczem chrzczyć potrzeba i nawracać! – zawołał Konrad dumnie. – *Ego te baptiso in gladio!* powinno być hasłem naszym.

Iwo głową potrząsał.

– Nie kościelny to oręż ten wasz, – rzekł – lecz gdy inne się wyczerpały, a dzicz kościołom i naszym owieczkom zagraża...

– Owieczki te wasze, – rozśmiał się Konrad – któreśmy po drodze spotkali, do kozłów podobniejsze niż do trzodki spokojnej...

Towarzysze rycerza, żarcik ten jego powitali nietłumionym śmiechu wybuchem, a Biskup głową tylko potrząsał...

– Bez niemieckiego żelaza – mówił zachęcony powodzeniem Konrad, – bez niemieckich rąk, niemieckiego rozumu i zabiegliwości z tego kraju nic nigdy nie będzie. Dlatego wielce się pochwała księżętom tutejszym iż niemieckich ludzi i obyczaj tu wprowadzają.

Biskup Iwo nie przeczył, lecz na twarzy jego znowu się obłoczek smutny pokazał i zniknął, a rycerz ośmielając się coraz bardziej, ciągnął dalej.

– Cesarze niemieccy nasi wiele kroć te kraje zająć chcieli orężem, bo się one im należą, tak jak i cała ziemia...

– Nad pogańskie zawojowaniami więcej prawa ma nasz Ojciec św. Papież rzymski i ten rozporządza koronami a rozdaje one... – rzekł Biskup.

– Ale co Rzymowi podlega, to i Cesarzowi przez to poddanem być musi – dodał Konrad, – dwie to władze nierozdzielne... – odparł rycerz... i dodał prędko.

– Niepotrzebnie w te dzikie kraje iść było z wojskami aby je tu jak Cesarz Henryk potracić od głodu i zdrady; niepotrzebnie wojować było, kiedy my je kropli krwi nie dając zagarniemy... Nie obejdą się one bez naszych rzemieślników, osadników, duchowieństwa i pomocy żołnierskiej... Niechaj tylko ciągną chłopci nasi, niech miasta budują – a ziemię te zajmiemy i niemieckimi uczynimy...

Biskup milczał jeszcze, spuścił głowę na piersi.

– Com rzekł o kraju iż dziki jest i na pół pogański, – kończył Konrad, – prawdę mniemam, lecz jakom w Magdeburgu słyszał i na dworze Cesarskim, z księżęciami dwory lepiej pono, bo tam nasze księżniczki zaprowadziły wszędzie obyczaj i język niemiecki... Ślężcy panowie nasi są, naszym się stanie i księżę Konrad, a dalej i drudzy...

Po drodze mnogośmy spotykali Sasów, ba i dalszych z Frankonii i Turyngii ludzi, którzy tu gromadami ciągną, wiedząc że ziemię darmo dostaną...

– Nic w tem złego – odezwał się Biskup, – że ci do nas idą a przynoszą nam z sobą naukę rzemiosł, i czegobyśmy nauczyć się radzi – z pomocą Bożą, na tej ziemi i otoczeni ludem naszym, staną się później naszymi. Wszyscy też ludzie braćmi są, wedle prawa pana naszego Chrystusa...

Krzyżak głową potrząsnął.

– Mnie się widzi, – rzekł, – iż jako inne kraje barbarzyńskie któreśmy pozajmowali – tak i te niemieckimi stać się muszą... Samo imię tych ludów stare na niewolników ich piętnuje...

Wśród tej rozmowy, do której Biskup pijąc z kubka wodę i chleb jedząc, który na drobne kruszył kawałki, – mieszał się mało, zaczynało ciemnieć, gdyż i blizki las rzucał mrok wczesny na obozowisko. Ks. Iwo oglądał się niespokojnie trochę, gdy Zbyszek szybkim krokiem ku namiotowi się przybliżył.

Biskup jak gdyby przybycie jego przeczuł podniósł się z siedzenia i ku wniściciu pochylił.

– Cóżes ty mi Zbyszku przyniósł? – odezwał się łagodnie.

– Tak jakem przeczuwał, – odparł Zbyszek z twarzą rozweseloną – granica Białej góry nieopodal już, ale – co po niej? obcego nikogo na Mszczujową ziemię nie puszczają, taki tu obyczaj, a co do grodu i do samego Mszczuja Waligóry, mówią że nikomu a nikomu, choćby najbliższym był i największym był – przystępu nie dają.

– Toć wiem że mój brat Waligóra zdziaczał zupełnie – odrzekł Biskup łagodnie zawsze, – ale przecie mnie jako duchownego i brata swojego odepchnąć nie zechce i nie może.

Krzyżacy słuchający tej rozmowy zdziwieni szeptać zaczęli – a Konrad odezwał się ochoczo.

– Jeżeli W. Miłość potrzebować możesz posiłku naszego przeciw opornemu, rzecz tylko słowo... Miłoby nam było trochę z pochew zaspanych dobyć mieczów i pokazać co umieją niemieccy rycerze!

Biskup obie ręce podniósł do góry i prędko zawołał.

– Niechże mnie Bóg uchowa abym ja przeciw swoim aż przymusu używać miał!! Słowa mojego dosyć spodziewam się, będzie, aby mi się bramy otworzyły...

Brat mój dziki jest, cudzych nie lubi, od wszystkich się jak murem opasał, żyje sam ludzi unikając – lecz na mój głos nie będzie głuchym.

– Dziwny to jakiś więc czy zły jest człowiek, – wyrwało się Konradowi, – jeżeli się tak zamyka...

– Złym nie jest – rzekł Biskup – lecz wiele ucierpiawszy że niemal pustelnicze życie prowadzi, tego mu za złe poczytać nie można. Aby mu pociechę przyniósł dążę do niego...

– Więc jeżeli do onego grodu niedaleka droga, toć byśmy się i my mogli do orszaku Miłości Waszej przyłączyć – odezwał się Konrad – a choć dziwowisko jakie tutejszych krajów zobaczyć.

– Chętniebym was pod dach mojego brata zaprosił – odparł Iwo, – lecz gdybym z obcemi do niego przybył, zaprawdę mi to przystęp utrudniło... Zostańcie tu, a gdy ja zdobędę gród i uściskę brata, może go skłonię aby i wam dał gościnę.

Krzyżak schylił głowę i nic nie odpowiedział. Biskup pobłogosławił ich dokoła i wśród milczenia wyszedłszy z namiotu, dosiadł konia swojego.

Orszak jego, który był u kraju lasu trochę spoczął, wnet też do koni się wzięł i za Biskupem podążał.

Wszyscy krzyżacy ludzie kupą zebrani zdala się jadącym przypatrywali. Konrad też, Otto, młodzi Gero i Hans z namiotu powychodzili i gwarzyli wesoło...

– Szkoda, – zawołał piękny Gero, po cichu, rękami poprawiając włosy, które mu na ramiona spadały i trochę niewieścią dawały fizjognomją tem bardziej że na twarzy ledwie się złocisty puszek wysypywać zaczął, – szkoda że ten smutny Biskup tak nas niegrzecznie się pozbył – bylibyśmy na grodku jego bratanka polskiego piwa się napili i może jaką niebrzydka zobaczyli niewiastę!

– A tobie one tylko w głowie! – rozśmiał się Hans, który wesa już mógł pokręcić, i tem prawem, choć nie wiele starszy, Geronę za wyrostka sobie poczytywał.

– Wyście nie lepsi – rozśmiał się Geron... – Pamiętacie zawczora jakeście to w polu za białą się uganiał podwiką...

– Tylko mi tego nie przypominaj zawodu – krzyknął Hans namiętnie – koniam zhasał, a baba która ze strachu na ziemię padła gdym ją dogonił, ostatni ząb jaki miała wybiła sobie...

Śmieli się wszyscy.

– Prawdę rzekłszy – mruknął cicho Konrad, który rozmowy słuchał – tu jeszcze kobiet nazwiska tego godnych nie ma, są stworzenia dwunożne, z których one może kiedy wyroznią!! Szczęściem że myśmy z Ottonem śluby czystości złożyli.

Otto się rozśmiał.

– Rozgrzeszą nas gdy je nadwerężymy, – rzekł, – ale w tym kraju nie ma pono niebezpieczeństwa, a miłośna pieśń, którą Gero tak nuci że za serca chwyta, tu mu nikogo w sieci nie wpędzi...

Wieczór był ciepły i piękny, a mimo postu piątkowego, który im Biskup przypomniał, na wieczerzę piekł się udziec sarny zabitej po drodze. Konrad kazał zastawić stół na dworze; we czterech zasiedli doń Krzyżacy i ochotnicy z wesołą myślą, którą ze dzbanka nalane w kubki wino, pomnożyło.

– O Biskupie Iwonie, któregośmy spotkali dużom słyshał – rzekł Konrad – i nie przeciwi się to com wiedział temu co widziałem dzisiaj. – Mąż to ma być wielce świątobliwy i pobożny. Dobrze on stoi w Rzymie, a bratanków swych dwu dawszy na wychowanie O. Domingo, już z nich zrobił apostołów i zakon kaznodziejski do Krakowa wprowadził...

Prawą ręką ma być książe krakowski Leszek, który bez niego nie czyni nic...

– Ale nam po nim też nic – przerwał cicho zabierając się do przyniesionego mięsiwa Otto – nam po nim nic, bo pono co miłe Leszkowi to naszemu Konradowi obmierze...

Konrad się ku niemu zwrócił.

– Nie wojują przecie bracia z sobą – rzekł powolnie.

– Ale Konrad nienawidzi starszego, jak głośzą, – dodał Otto, – co nie nowina między braćmi. Młodszy jest, wyprawili go w puszcze i błota na splecheć ziemi, w której mu się utrzymać trudno, co za dziw że wolałby w Krakowie siedzieć spokojnie?

– Z tego co się tu i ówdzie po drodze słychiwało – odezwał się do tych milczący Hans – zdaje się że Leszek w książzkowskich rękach, pobożny pan a miękki, choć mężny, wojny nie lubi. Konrad jeżeli go z siodła nie wysadzi, to byle spadł na nie skoczy, i wszystkim zawładnie. Tak ludzie prorokują.

– Źle wróżą – przerwał Konrad marszcząc się, – jakby to na granicy silniejszych a bliższych Ślężkich nie było... co już Niemcami są i siłę mają a rozum nasz...

– A cóż pomogło Władysławowi temu długonogiemu, o którym nam w Magdeburgu opowiadali – odezwał się Hans, – że Niemcem jest i obyczajem i mową?.. Toć siedział na Krakowie, a jak się dał wziąć nań, tak się dał z niego dobrą wolą wyprosić.

– E! – krzyknął Konrad – bo ten Władysław, niemiecki ma język, prawda, ale serce miał polskie. Dobry człek, a z dobrocią do kądzieli nie na koń.

Rozśmieli się wszyscy potwierdzając.

– No to i Ślężcy nic nie wskórają – dodał Hans uparcie, – boć książę Henryk chodził już pono raz pod Kraków i skończyło się na tem że im księza kazali się uściskać i zgodę zapisać!!

– Książę Henryk Wrocławski pobożny pan – odezwał się drwiąco Konrad – Biskupowi nic nigdy nie odmówi... Temu tylko kaptura braknie by mnichem był – a żona mniszka prawdziwa...

– Więc bądź co bądź – rzekł Otto – naszemu księciu Konradowi najlepsza gwiazda świeci, bo ten słyse, serce ma kamienne a ręce żelazne... Życie ludzkie mu za muchę nie stoi... Z duchownymi też jak go słuchają dobry, jak się ostro stawia, – nie patrzy czy łysina na łbie – i...

– Daj pokój naszemu – odezwał się Konrad – przecieżeśmy to jego lennicy i bronić go powinniśmy.

– Jako, lennicy? – oparł się Otto, – nie lennem nam prawem ziemię dają ale dziedziczem... Mistrz nasz Herman jest książciem Cesarstwa i my nikomu lenna ani pokłonu nie winniemy krom Cesarza!!

Konrad zamilkł chwilę, potrząsając głową...

Kubki nalane na nowo, wychylano...

II

Mrok już był dobry, gdy na jedynym gościńcu, który przez las prowadził, zdała się coś ukazało jakby ogrodzenie wyniosłe i brama.

– Otóż i granica Białej Góry! – zawołał Zbyszek...

W owych czasach gdy większej części posiadłości rubieże były wątpliwe, a miedz, kopców i granic nie pilnowano tak bacznie, bo pustej ziemi dosyć było – obwarowanie tak ściśle, musiało się czemś wydawać osobliwym. – Biskup stanął i patrzył długo milcząc, inni też spinali się na koniach szepcząc i uśmiechając się. Ruszano ramionami.

Orszak cały, który się był wstrzymał na krótko ciągnął ku zagrodzie, widoczniejszej już coraz...

Gościńiec przecinał głęboki parów, wał, a na nim stało ogrodzenie i widniała dosyć mocna dawniej, teraz trochę opuszczona brama zamknięta. Nie dochodząc do wału przyparta do niego nędzna, rozkraczona szeroko siedziała buda której dach ladajako poosuwaniem dranicami pobity, cały kurzył dymem od wewnątrz płonącego ogniska. Przez małe otwory w jej ścianach, o mroku wieczornym błyszczało światełko czerwone.

Ludzie tu więc byli.

Niedługo na ukazanie się ich czekać było potrzeba, gdyż jak tylko stąpanie zbliżających się koni posłyszano w chacie, naprzód jedno okno przyciemniało, bo je ktoś wyglądając niem głową zaparł, potem skrzypnęły drzwi i człek jakiś wyszedł naprzeciw jadącym. Stał jak wryty u progu, zdając się oczom nie wierzyć gdy zobaczył tyle ludzi i koni.

Zbyszek chciał ku niemu podejść, gdy Biskup ręką nań skinąwszy aby pozostał, sam się do strażnika przybliżył i pozdrowił go obyczajem chrześcijańskim.

Stróż był człek stary, silny jeszcze, z brodą siwą postrzyżoną i głową odkrytą już wyłysiałą. Na sobie miał kożuszek krótki włosom na wierzch, spodnie płócienne i chodaki.

W rękę czy dla oznaki swego urzędu czy dla obrony trzymał ogromny drąg, w którego końcu kawał żelaza był przytwierdzony.

Mruknął coś niewyraźnego za odpowiedź na pozdrowienie Biskupowi.

– Otwieraj mi wrota – odezwał się Iwo – wskazując ręką na nie. – Jestem bratem Mszczujowym i jadę go odwiedzić a pobłogosławić mu.

Stróż nie zdawał się rozumieć, podniósł głowę pilno się przysłuchując, oczy wytrzeszczył, usta mu się bezzębne otwarły szeroko, nie odpowiadał...

Cierpliwie Biskup powoli powtórzył rozkaz wskazując na bramę, ale człek się ani ruszył, ani odpowiadał. Zwrócił się ku Zbyszkowi Iwo, a ten już zsiadał i przyszedł do stróża...

Powtórzył mu nalegając wolę Biskupa i dodał że jadący był najwyższym Pasterzem..., a należał do rodziny pana z Białej Góry. Wszystko to jeszcze nie trafiło do przekonania milczącego strażnika.

Słowa z niego dobyć nie było można...

Już ludzie biskupi zabierali się ku wrotom iść i przebojem je otwierać, coby łatwo przyszło, gdy milczący stróż zaparł im drogę sobą i drągiem. Iwo dał znak by siły nie używać.

Złękły człek bełkotać poczynął. Mówił coś, lecz dla braku zębów i głosu, który przestraszył stłumił, zrozumieć go było trudno. – Wywijał tylko żwawo drągiem drogę usiłując konnym zapierać.

Ułakłszy się nacisku ludzi, którzy z koni posiadali i zbliżyć się do niego i wrot zaczęli, jakby z rozpacz, nagle począł pod kożuchem szukać czegoś rękami drżącymi, i dobywszy rogu rozpaczliwie tak zatębił, iż konie się zachnęły, a kilka z nich w bok rzuciło. Tylko biskupi rumak uszy nastawiwszy do góry, ani drgnął... za co go Iwo po szyi pogłaskał...

Wrzaskliwy głos rogu wśród ciszy, po nocnej rosie rozszedł się szeroko; jakby go fale niosły powietrzne.

Upłynęła chwila niepewności – patrzano na siebie i Biskupa, który dał znak, aby czekali...

Dosyć długo stali wszyscy w miejscu nieruchomi, aż Zbyszek pierwszy zdala przybywającego konia usłyszał. Pędził ktoś od wzgórza poza którym nic widać nie było. Tentent coraz się stawał wyraźniejszy i za wrotami mignął człowiek na koniu, który nie zsiadając z niego przez szpary począł zaglądać.

Zbyszek podszedł ku niemu. Nim się miał czas przybyły zapytać usłyszał kto czekał i rozkaz aby wrota otwierano.

– Nikomu się te wrota nie otwierają, choćby i sam pan a ksiązę i król był, bo tu jedynym panem pan nasz... My do nikogo nie mamy nic i nie chcemy aby do nas miano...

– Ależ brat i Biskup... – zawołał gniewnie Zbyszek... – Słyszysz! my tu nie zcierpimy aby słudze Bożemu opór kto stawiał, wrota wywalimy!!

– To, co? – krzyknął człek z za wrót. – Wywalicie bramę, pojedziecie pod gród, a przecie go nie zdobędziecie, bo my w potrzebie bronić się umiemy, zamiast od tych wrót pójdziecie od tamtych...

Wtem Biskup sam głos podniósł.

– Słuchaj, dziecko moje – rzekł łagodnie – jedź na Białą Górę i powiedz Mszczujowi, że Iwo brat u wrót jego stoi. Iwo z Krakowa...

Siłę jakąś nakazującą miały te wyrazy, bo człek posłyszawszy je zamilkł, nie odpowiadając nic, konia zawrócił i popędził...

Stróż z drągiem trochę na bok się usunąwszy, lecz od bramy nie odchodząc, oburącz na broni swej sparty, pozostał nieruchomy.

Na dworze ciemniało powoli, a Biskup z głową spuszczoną cierpliwie, modląc się po cichu czekał odpowiedzi, której zwłoka Zbyszka widocznie niecierpliwiła. Lekki wiatr zerwał się od zachodu i choć niebo było miejscami wypogodzone, pędził porwane chmury, które zdały się posłańcami wyprawionemi na zwiady, zapowiadającemi zmianę pogody. Powietrze stawało się chłodniejszym, jak zwykle jesienią gdy słońce zajdzie...

Po dość przeciągniętem oczekiwaniu znowu tentent się dał słyszeć, stróż zwrócił oczy i głowę ku wrotom prostując się i gotując jakby na obronę stanowiska, bo był pewien że z grodka przyjdzie odpowiedź odmowna. Za bramą pokazał się jezdnym a Zbyszek co prędzej dopadł do niego...

– Miłościwy pan nasz, – rzekł przybyły trochę zadyszany, – choć nikogo obcego u siebie nie chce, ale brata gotów ugościć. – Tylko nie z orszakiem i nie z dworem ale samego.

Wśród dworzan biskupich wybuchnął szmer dość głośny, tylko Zbyszek spojrzął na pana, czekając co ów powie...

– Rozbijcież tu sobie namioty i napalcie ognia – rzekł Pasterz – a ja pojedę na nocleg do Białej Góry, kiedy inaczej być nie może. Żal mi was, dzieci moje, ale inaczej chybiłbym celu podróży...

Wtem kanclerz biskupi, ksiądz Sylwan, nie mogąc wytrzymać zawołał głośno:

– Ale Miłości Waszej puszczać się tak samemu ani przystoi ani bezpieczna! Jak to może być żeby choć jednemu z nas towarzyszyć mu nie było wolno!

Od bramy, posłyszawszy to posłaniec powtarzać zaczął.

– Jednego tylko księdza brata puścić mi wolno, jednego!

Ks. Iwo uśmiechnął się i ręką począł żegnać swój dwór duchowny i orszak.

– Zbyszek, – rzekł do czekającego swojego ochmistrza, który stał z głową frasobliwie spuszczoną, – proszę ja cię, niech wszystkim będzie na obozowisku przymusowem dobrze... Uczynić co można...

Rękę podniósł i pobłogosławił...

Koniowi biskupiemu nie bardzo się od gromadki chciało odchodzić, lecz ks. Iwo przemówił dość łagodnie i koń ruszył się posłuszny ku wrotom, które stróż drąg postawiwszy przy tynie, z trudnością otwierać zaczął.

U wrót stojący pilnowali aby nikt więcej wcisnąć się nie mógł za nie...

Dopiero gdy Biskup oddalił się nieco a bramę na nowo drągiem założono, wśród dworu głośniejszą się odezwali oburzeni księża i Zbyszek przeciw dziwactwu pana z Białej Góry, który ich niegodnemi

osądził przestąpić próg swojego gródka. Stary tylko kapelan biskupi ks. Ambroży, nawykły do cichego poddawania się wypadkom, nienawidzący próżnych wyrzekań, po pierwszym wybuchu zaraz im usta zamknął tem że człowieka nie znając sądzić się nie godzi.

– A co my wiemy, – rzekł, – dlaczego ten człek dzikim się stał, i czemu z ludźmi nie obcuje! Cóż jeżeli to czyni z pobożności i potrzeby ducha... Nie sądzcie abyście nie byli sądzeni...

I tak zwolna szemranie ucichać zaczęło.

Biskup tymczasem jechał stępią o drogę nie pytając, koniowi dawszy wolę, zamyślony, a pewien będąc że trafi na gródek. Za nim w oddaleniu pewnem zamkowy sługa się włókł z głową odkrytą. Dostyc zarosła drożyna spinała się trochę pod górę, którą od zachodu resztką odbłasków wieczornych oświecała. Nie widać jednak było długo nic na wyniosłości tej krom wału ziemnego i tynu który przez długie lata przybrał barwę ziemną i pookrywał się zieleń, co go przysłaniało. Podjechawszy dopiero, nad wał się podnosić im w oczach zaczęła wieżyca zamkowa ale drewniana, z ogromnych starych balów zbudowana, podobna do wielkiego stosu bierwion daszkiem pokrytych. Nad nią więcej nic z za wałów nie wyjrzało, choć się ku nim zbliżyli... Przewodnik biskupi wyprzedził go, bokiem jadąc i huknął naprzód aby pierwsze wrota im otworzono... Te przebywszy, jechali jeszcze pod górę ku drugiemu wałowi i drugiej bramie, która nie naprzeciw pierwszej, ale w bok od niej wśród okopu czerniała...

Zbudowana była bardzo starym sposobem, z niezmiernie grubych pni pomazanych i pooblepianych gliną... Furtę tylko dla Biskupa otworzył jakiś człek, a tę przebywszy znalazł się most na rowie głębokim, za którym grodzisko jakby w kotlinie na wierzchu góry leżało.

Szary mrok nie dawał dobrze rozpoznawać zabudowań rozległych, różnych wysokości i kształtów, skupionych u podnóża drewnianej wieży, których barwa szara nie wiele się od ziemi na której siedziały różniła. Cicho tu było i zdawało się pusto, choć gdzieniegdzie w otworach ścian z wnętrzów ognie błyszcząły... Gdy Biskup most pominął ujrzał przed sobą stojącego mężczyznę nadzwyczajnego wzrostu, istnego olbrzyma, a choć twarzy jego nie mógł dojrzeć, z tej postaci dla której Mszczuja u pospolitego ludu przewano Waligórą, poznawszy brata obie ręce wyciągnął ku niemu...

Koń stanął...

Olbrzym ów chwycił rękę Iwona, i nie mówiąc słowa, ale zanosząc się płaczem, całować ją począł...

Dopiero po chwili, gdy Iwo zsiadł a stanął opierając się o rękę brata, dało się słyszeć...

– Iwo mój... Iwo!

– Mszczuj! Bóg z tobą!

Oba byli wzruszeni tak że mówić nie mogli, w milczeniu przerywanem łkaniem i westchnieniami ciągnęli ku domostwu...

W szarym mroku widać było po pod ścianami cicho, trwożliwie przesuwające się postacie służby, niktące wprędce...

Szczekanie i warczenie psów słyszeć się dało i wnet umilkło...

Gospodarz wiódł prałata ku budynkowi obciążonemu podsieniami na słupach. Czeladź która tu stała rozstała się na widok pana i uszła na stronę...

Drzwi wielkie a ciężkie otworem stojące prowadziły do sieni tak rozległej jakby secinę jaką ludzi mieścić potrzebowała. Z boku jej płonęło ognisko. Tu się nie zatrzymując, wprowadził Mszczuj ks. Iwona do izbicy na lewo... I w niej paliło się jasno ognisko oświecające ściany drewniane poczerniałe.

Starodawnym obyczajem była izba ubrana w ciężkie ławy dokoła, w police nad niemi. Małe otwory okiennicami pozamykane w ścianie od podwórza we dnie mało światła wpuszczać musiały. Choć nad ogniskiem dymnik był zwieszony jak kaptur olbrzymi, sadzą smolnych łuczyw okopcony, nieco dymu siniego rozpościerało się po izbie i jakby pasy rąbku leżało pod pułapem...

Stół wbity nogami w ziemię zajmował jeden kąt izby, a na nim widać było dawnym obrzędem rozpostarty ręcznik, chleb, nóż, kubek i kubki drewniane. Wszystko to było do zbytku ubogie i proste...

Gdy Waligóra w świetle ognia palącego się pod dymnikiem pokazał się bratu, który go o mroku wprzód dobrze widzieć nie mógł, – oblicze ks. Iwona zadrżało jakby uczuciem radości. Spodziewał się go znaleźć złamanym i zestarzałym, a miał przed sobą jeszcze w pełni sił męża, jakby do boju gotowego.

Wprawdzie włos bujny i ciemny na głowie i na brodzie już się miejscami, pasami srebrzyć zaczynał, czoło było porwane w brzozy głębokie, ale oczy czarne ogniste patrzyły życiem, błyskały ogniem, ramiona i barki nie ugięły się pod lat brzemieniem, szeroka pierś sklepista oddychała swobodnie... Tylko w wyrazie tej twarzy i oczów było coś tęsknego i gniewnego razem, może wzruszeniem zapalony ogień jakiś niepowszednich dni – bo z nim żyćby długo nie można. Drżał ów olbrzym patrząc na Biskupa, który wpatrując się w niego nawzajem z łagodnością i spokojem nieopuszczającym go nigdy – zdawał się litować.

– Pokój tobie i domowi! Bóg z wami! – rzekł głosem słodkim, a kojącym...

Obejrzał się...

– Po staremu u ciebie, ubożuchno, a po prostu! – dodał.

– Bom ja stary człek, – odparł Mszczuj – stary człek i prosty... nowego ja nie chcę nic – i mądrego a sztucznego, a uchowaj Boże obcego...

Rzekł to gospodarz prawie namiętnie, i nie chcąc dłużej się rozgadywać, pospieszył dorzucić.

– Co wam dać na wieczerzę?

– Piątek, post – rzekł Biskup – a niedawno posiliłem się kromką chleba i wodą. Wodę świeżą rad zawsze piję, macieli też pierog lub chleb, nie odmówię, więcej mi nie wolno nic.

Waligóra włosy potarł... spojrzął na ławy nieokryte i zwróciwszy się ku kątowi, dobył sukna grubego kawał, którym zasłał siedzenie, wskazując je Biskupowi...

– Choć ja jeść nie chcę, to nie przeszkadza – rzekł Iwo, – abyście wy swej postnej wieczerzy podać sobie nie kazali – będę miał tem większą zasługę gdy mi uczyni pokusę, którą zwyciężę...

– Jam już jadł i syt jestem – rzekł Waligóra...

– Siadajże przy mnie, niech na ciebie patrzę, mów, niech cię słucham, tłumacz się, niech cię zrozumie... Policznio lata, ile ich upłynęło od czasu gdy cię ten giez ukąsił, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę – i tyś bez żadnego powodu ze światem zerwał i z rodziną...

Waligóra uśmiechnął się ale tak boleśnie, patrząc na brata i takie mu się wyrwało westchnienie ciężkie z piersi, iż Biskup rękę mu na ramieniu położył, widząc że cierpi...

– Dobrześ, rzekł – bracie, giez mnie ukąsił, giez a rana od tego gza do dziś boli. – Ino choć ty jesteś duchowny i brat nie pytaj mnie jak się on zwał i kędy mi ranę zadał – nie czas mówić... nie czas!

Zerwałem z światem i z rodziną... a! tak – bom tam ja nie miał co robić...

– Bracie! bracie – przerwał Biskup, – jam tu właśnie przybył cię nawracać. – Nie pytam co zabolalo choćbym może, za pomocą i łaską Bożą ranę zagoił, lub ból zmniejszył – gwałtu choremu zadawać taki lekarz jak ja nie może... chory doń sam przyjsć musi, aby leki były skuteczne. – Tylko mi ciebie żal bracie mój, i tęskno mi po tobie, a ta rodzina któreś się ty wyrzekł, opuścił ją, potrzebuje ciebie...

Waligóra słysząc to wyprężył żylastą swą ogromną silną prawicę z pięścią ściśniętą i mruknął.

– Ręki wam trzeba... ha! już ona nie ta co dąbczaki z korzeniem rwała z ziemi – nie ta!

– I pięśćby się przydała może, – odparł Biskup, – więcej serce.

– A i ono zamarło i zamarzło! – westchnął Waligóra – co wam już po niem i po mnie.

– Słuchaj, miły mój! – odezwał się Biskup. – Chrystusowi słudzy, jakim ja jestem, gwałtu nikomu nie zadają; ich orężem słowo i miłość, innego nie mają. – Więc słuchaj ty słów moich, które czasem Duch święty i ubożuchnym natchnąć może... Dobrzeć jest w tej pustelni, spokojnie? nie widzisz złości ludzkich, nie potrzebujesz się borykać z nimi. Tobie błogo, ale rzecz mi z sumienia

twego, czyś ty stworzony był na to, i ochrzczony dziecięciem społeczności Chrystusowej abyś sobie tylko służył, czy byś dzielił losy braci i ludu twojego?? Powiedz mi? Cóż to jest ten chrzest święty jeżeli nie zaciąg na wiekuiste żołnierstwo, które ucieczkę czyni sromotną?

Król nasz Bolesław tchórzom co mu zbiegali z wojny, słał kądziele i skórki zajęcze! cóż Chrystus pośle wam którzyście z jego szeregów wystąpili?

– Przecież się ja Chrystusa Pana nie zaparłem! – odparł żywo Mszczuj, – przecież modłę się i księdza trzymam, spowiedź odprawiam, postów nie łamię...

– Albo myślisz że na tem dosyć – rzekł Biskup łagodnie. Hetmana się nie zapierasz ani chorągwi, cóż gdy cię w boju niema, a poszedłeś bezpieczny pod krzak i szukasz pod nim schronienia...

Waligóra się zzymnął...

– Ja z tobą na słowa walczyć nie potrafię, – odparł – pobijesz mnie niemi – lecz, bracie, posłuchaj i ty mnie! posłuchaj przez miłosierdzie – nie potępij!

– Siadź przy mnie – szepnął Biskup, – słuchać cię będę – owszem, bylebyś ty potem mnie dał ucho. Mów – siadaj.

– Nie każ mi siedzieć – odezwał się Waligóra – krew mi nie da na miejscu pozostać, ruszać się muszę...

Tchnął mocno i widząc że ogień na kominie przygasa, poszedł nań parę szczap przyrzucić. Biskup siedział milczący, on czoło tarł i włosy rozrzucał, – oczy mu się paliły...

– Mówisz żem ja zbieg wojenny, – rzekł – a! gdyby życie dając można zwycięstwo zdobyć – nie wahałbym się. Nie o życie mi idzie, ino bym się nie zbrukał i nie zabłocił na duszy..., abym patrząc na to co się dzieje nie rzekł nareście obłąkany iż tak się dziać powinno...

– A cóż tak złego dzieje się lub stało? – przerwał Biskup składając ręce. – Bogu najwyższemu dzięki, błogosławieństwo nad krajem, wiara się mnoży, kościoły budują, lud z pogaństwa obmywa... światło przychodzi!

– Patrząc tylko w niebo – zawołał Mszczuj, – pewno więcej nie widać, a na ziemi? co?

Zamilkł chwileczkę...

– Nasza ziemia na kawałki się popadała, o kawałki biją się bracia, mało tego – kto nam panuje? Ty powiesz chrześcijańscy panowie – pewnie, tylko nie naszej już krwi, języka, obyczaju...

Biskup drgnął.

– Co mówisz? – zapytał.

– Wszakżem ci ja na dwór i na osobę Laskonogiego patrzył, na słażkie książęta, na innych, na ich dwory, na ich czeladź – na ich zabawy i rządy... Wszystko to Niemcy, a Niemców u nas liczba rośnie, rośnie i my w domu sługami ich... Wasze klasztory niemieckie, wasze kościoły co mają z Niemiec wzięły, zbroi niema lepszej jak z za granic, miecza dobrego tylko od nich... Sukno wam tkają Niemcy, klejnoty kują, dobrze że chleba nie pieką. Miałem się ja na to patrzeć z założonymi rękami a dziękować że mi serce wyjadali!

Biskup popatrzał nań łagodnie...

– To ci żółć zburzyło? – spytał, – więc pociesz się bracie – boś nie dobrze widział i zawczasu zrozpaczył. I ja na to patrzę ale okiem wesołem, nie lękając się... Cóż szkodzi że oni nam służą? Posiedziawszy z nami Niemiec się przerodzi... a co przyniósł z sobą, zostanie... Wiedzieć musisz co mi Bóg dał za świętych ludzi uczynić ze dwu naszych bratanków z Jacka i Cesława? Ci przecie w Rzymie Niemcami nie zostali – klasztory też nie wszystkie niemieckie... a i te co są aby żyć, muszą się stać naszymi...

– A książęta? książęta! – przerwał Mszczuj – albowż to nie wiesz co z ich dworu płynie jak ze źródła i że gdy oni czarni, wszyscy dla nich mazać się muszą? Pokażże ty mi dwór a pana coby do Niemców nie lgnął, coby się obchodził bez nich.

Śłażko sąsiednie zalali już niemiaszki, siedlą się w niem, miasta budują, prawo swoje przywożą aby naszego nie słuchali, krzyżem się zastaniają aby się im nic nie stało...

– Bracie miły, – westchnął Biskup – rozżalon jesteś, a w Bożą opiekę nie wierzysz... Bóg i takich narzędzi używa do nawracania.

Jam spokojny, nas tu więcej jest, co mi przybysze szkodzą, gdy je życie nasze obejmie i przerobić musi...?

– Niemca! Niemca aby nasze siły ze skóry jego wywlokły i nową mu dały? – zawołał Mszczuj.
– Zaprawdę widziałem dużo naszych co się poniemczyli, ani jednego Niemca coby się znaszył... Gdyby się i mowy nauczył i strój wdział, i przygłaskać dał, siedzi w nim zawsze coś co mi śmierdzi.

– A wszyscy chrześciance braćmi są – rzekł Biskup – o tem zapomniałeś.

– Nie, ino chcę aby brat każdy u siebie siedział a do zagrody mi się nie wpierał – rzekł Mszczuj.
– Im się chce naszej ziemi! Nie mogli jej zawojować orężem, chcą ją posiadać bez krwi rozlewu... przebierając się za czeladź i służąc nam... Ano bieda temu żupanowi co na gród puszcza przekupniów nie znając ich... Nocą mu wrota nieprzyjacielowi otworzą... Ja ich ani panami, ani sługami nie chcę mieć, a braćmi za drzwiami...

Widząc że Biskup milczy głowę spuściwszy, ciągnął dalej.

– Nie mogli nas pożyć inaczej, mądry naród na sztukę się wziął.

Królom i książętom poczęli żony stręczyć, bodaj z klasztorów.

Biskup syknął.

– Tak ci było – dodał Mszczuj – Bolesław mniszkę zaślubił, nie wykleli go.

– Złem to było – rzekł Biskup.

– Nikt nie pisał – mówił Waligóra... – Za taką panią musiały służki iść i czeladź i kapelan i rzemieślnicy, i zbrojni... Na dworze wszyscy dla miłości jej poczęli bełkotać i szwargotać. Urodził się książę, pierwsze słowo co rzekł do matki a ona do niego, – nie nasze było... Dla syna musiał uczyć się ojciec, a potem mu smakowało to jak co przedniego i ze swemi dworzany wołał paplać tą mową, którą szatan wymyślił.

– Bracie! – zawołał Biskup.

– Przebacz, a no żółć kipi we mnie już – dodał Mszczuj. – Tak było. Co nasze nie smakowało nam... nie starczyło, choć wieksiśmy tem żyli, od rzemyczka do sprzążki musiało wszystko iść z za gór, z za mór, inaczej nie smakowało...

Tak nam się Piastuny nasze poprzemieniały na Laskonogich... co gdyby ich człek spotkał na gościńcu nie znając wzięłyby za obcego.

– A święty, pocziwy i pokój miłujący człek – rzekł Biskup.

– Jabym wołał żeby wojnę miłował a Niemcem nie był – mruknął Mszczuj... – Laskonogiemu zarzucić nic nie można ino to że choć niby krwią nasz a duszę Niemcom sprzedał. Wszakże dobre panisko było, bo gdy go na Kraków powołali nie chciał Krakowa brać ażby mu Leszek pozwolił, potem gdy po Zawichoście Leszka sobie upodobali nasi krakowianie, którym zawsze nowego sitka na kółku potrzeba, Laskonogi się nie spierał i poszedł precz... Możeż być lepszy człek? a złe broił, bo przy nim wszystko niemczało...

– Cóż Niemcy zawinili? – spytał łagodnie Biskup, – powiedz?

Mszczuj się zaczerwienił.

– Mnie nie uczynili nic – zawołał, – jam człek mały i przezemnie choćbym zginął, nie wieleby ziemia nasza straciła – ale państwo nasze przepada przez tę niemczyznę. Patrzcie na sąsiedni Szlązk, jak go zalewają... Jeszcze trochę a nie rozmówisz się swym językiem na swojej ziemi...

I przerwawszy krótko, Mszczuj dodał...

– Żle z nami! źle! Za Mieszka i za syna i za Krzywoustego jeszcze do kupy się łączyły ziemie i powiaty, panowanie rozlegało szeroko, potęga rosła... a dziś co? Co mi z tego że dąb poszczepany na klepki gładko wygląda, mocy już tej nie ma jak gdy grubym był i w sobie jednym. Tak i owo państwo Bolków naszych dziś na klepki i tarciczki rozpiłowało potomstwo... Niemcom w to graj, bo pokrajane kawałki łykać łącniej.

Zasepił się Biskup i milczał patrząc w ziemię.

– Słuchaj Mszczuj, – rzekł – tobie się potęgi chce, a nie wiesz czyby ona rosnąc i po twoją głowę nie sięgnęła. Wielcy panowie i Cesarze gdy w siłę urosną, nie szanują nic, ani praw Kościoła ani praw człowieka... Musiało się rozpaść po Krzywoustym królestwo, aby religii, duchownym i wam ludziom swobodnym na karkach nie ciążyła tyrania! Przecie te wszystkie kawałki mają jedną głowę w naszym Arcybiskupie gnieźnieńskim i duchowieństwie – wszystkie Rzymowi podlegają i metropolii stolicy swej. Duchowieństwo was broni od samowoli i tyranii! Ono czuwa, królem waszym pan nasz Jezus Chrystus... Mamy jako oręż nieskruszony klątwę która ze społeczeństwa wyłącza i pokazaliśmy że się jej i na stojących najwyżej użyć nie zawahamy...

– Tak, ale popróbcujcie anathema wasze rzucić na Połowców i Rusinów – co ona pomoże? – zapytał Mszczuj...

– Na nasze zawołanie wszyscy książęta się zjednoczą, pójdą na pogan – rzekł Biskup – i zwyciężą...

– Pójdą, tak – mruknął uparty olbrzym, – ale zamiast z pogany z sobą się zwaśnią aby jeden drugiemu kawał ziemi opanował i wyrwał!! Dla was duchownych pewno lepiej z wielą małemi pankami niż z jednym silnym – ale ziemi tej! ziemi tej, którą oni z sobą się drąc i jedząc krwawią – popytajcie?? Ziemia ta wam odpowie jakom ja niegdyś słyszał że czytano z pisma – biada królestwu w sobie rozdzielonemu! biada!

– Po ziemsku patrzysz na te sprawy – odezwał się Biskup nieco pomilczawszy. – Naszej ziemi naprzd było potrzeba wiary świętej i światła, nie pytaliśmy i nie pytamy kto je nam przynosił, bo bez nich życia nie było. Krzyż nas wyzwolił od zagłady, od zawojowania przez Cesarstwo... Pierwsi Benedyktyni, pierwsi mnisi i kapłani niemieccy, czescy, francuzcy, włoscy przecie nas nie porobili niczem innym tylko chrześciany...

– Zaczekajcie ino – zawołał Mszczuj – Niemcy gdy napłyną – zobaczycie dopiero czem będziemy...

– A gdyby i tak było jak mówicie – przerwał Biskup – cóż za powód uciekać i kryć się, kiedy właśnie, jak sam powiadasz, Niemców odpierać trzeba?

– Nie czas już! zapóźno! – krzyknął Mszczuj. – Ślázko przepadło!!

Nie wiem co się dzieje w świecie, lecz nie daj Boże by i Mazury i inne ziemie nie zostały oderwane... Książęcia coby Niemcem nie cuchnął nie ma... wszyscy...

– Nie mów mi nic na pana mojego Leszka, bo dobry i najlepszy jest, najszlachetniejszego serca, jako ojciec był, pobożny, świątobliwy, sprawiedliwy... – żywo odezwał się Biskup. – Daj nam Boże takich więcej...

Mszczujowi oko błysło a usta się ścięły – zamilkł nagle. – Biskup na ogień patrząc dumął jakoś niby po cichu się modląc...

– Nie darmom ja tu do ciebie sam przybył aby cię z tej jamy, w której jak niedźwiedz łapę liżesz, wyciągnąć – rzekł powstając... – Pana mamy dobrego, miłościwego – szlachetnego... – lecz – ... lecz zagrażają mu nieprzyjaciele, siły wszelkie jakie są koło niego się skupić powinny; przedewszystkiem my Odrowążowie całą gromadą od której ty się oddzielać nie możesz. Ród cię woła. Kto nie ma już ojca jak my, temu ród ojcem i matką, – na jego głos kto nie odpowie, ten się swoich zapiera, i zostaje sam...

Mszczuj – jam po ciebie tu przybył...

Waligóra stał niemy, zdziwiony, ale milczenie jego nie zdawało się posłuszeństwa zwiastować. Czuł to Biskup i począł coraz żywiej.

– Tak jest, bracie, panu naszemu zagrażają skryci i jawni nieprzyjaciele... Wy.

– Ja o niczem nie wiem, bo od Laskonogiego na świat nie wyrzałem – dodał Waligóra...

– Wy musicie i powinniście iść z nami – mówił Biskup. – Na pozór ulega wszystko naszemu panu, ale w rzeczy zazdroszczą mu Krakowa, zazdroszczą siły i cnoty i miłości jaką ma, a mniemają go słabym... Rodzony brat Konrad, choć jawnie mu posłuszny, patrzy tylko czy się sposobność nie nadarzy opanować i tę dzielnicę, a jest gwałtowny, krnąbrny, chciwy i srogi... Książętom śląskim nie

odeśniło się jeszcze że do Krakowa prawa mają większe niż Leszek, ma przyjaciół Laskonogi, ma Plwacz, a najgorsza ze wszystkiego że Jaksowie po staremu nienawidzą nas, knują przeciwko temu przy którym my stojemy.

– Więc zgody niema z niemi! – spytał Mszczuj.

Westchnął Biskup.

– Bóg widzi że nie my Odrowążowie temu przyczyną jesteśmy, – rzekł, – ja jako sługa Chrystusów ze wszystkimi zgody pragnę. Wszakżeśmy próbowali z Jaksami zawrzeć pokój nieraz i daliśmy im dziecko z naszego domu do ich łoża, a wzięli córkę od nich dla naszego dziecięcia – nic to nie pomogło. Zawzięci na nas jako byli.

Zazdroszczą nam łaski pańskiej, mnie stolicy biskupiej, opieki jaką mam w Rzymie, zazdroszczą mi dwóch świątobliwych bratanków, Jacka i Cesa, złem okiem patrzą na klasztory które budują i kościoły które wznoszą. – Spiskują z Konradem potajemnie, z Plwaczem, a głową ich Światopełk którego osadzono w Pomorzu, naprzód ojca wielkorządcą, potem syna kneziem, – ten już pana co mu dał tę ziemię znać nie chce i myśli się oderwać... Jaksowie przez niego silni są...

– Aleć wy, bracie macie Leszka! – rzekł Mszczuj, – a ten silniejszy jest od Światopełka Pomorskiego?

– Dopóki do jednego zdrajcy, nie przyłączą się inni – odparł Biskup. – Uchowaj Boże upadku pana naszego, runiemy i my rodem całym, i pójdzie ta ziemia znowu na łup zniemczalym Ślązakom, albo Plwaczowi nielepszemu, lub okrutnemu Konradowi Mazowieckiemu, który zakon braci szpitalnej niemieckiego domu co się narodził w Jerozolimie, już ściąga w pomoc i Chełmno im już dał...

Mszczuj słuchając za głowę się pochwycił.

– Jako! – krzyknął z gwałtownością wielką, – jeszcze jeden zakon niemiecki u nas? I już mu ziemię wydzielają!

– Zaprawdę tak jest – odparł Biskup, – a nie jedno to niebezpieczeństwo zagraża! Myśl więc Mszczuj że i tyś mi potrzebny, że ja się bez twej dłoni, serca i głowy a sumienia obejść nie mogę... że czas jest abyś wylazł ze swej skorupy...

Gdy to mówił Biskup pierwsze koguty zapiały.

– Czas do spoczynku – rzekł, – jutro po mszy świętej, więcej i szerzej pomówimy...

III

Zaprowadziwszy Biskupa do izby gościnnej, w której pacholę czekało dla usługi, widząc że Iwo zaledwie tu wszedłszy na kolana się rzucił i z wielką rzewnością i przejęciem na głos modlić się począł, wyszedł stary Mszczuj samym go zostawując.

O te czasy zwykle na Białej Górze u niego spało wszystko i on sam już odpoczywał, teraz gość którego tu od lat wielu nie widziano trzymał dwór cały na nogach i w niepokoju jakimś.

Na wracającego od izby gościnnej Waligórę czekali domownicy wszyscy, by na zawołanie ich miał. Lecz stary szedł tak jak upojony tem co słyszał, co mówił sam. Szumiało mu w głowie, dzwoniło w uszach, odurzony, oślepy włókł się nie wiedząc dobrze dokąd idzie...

Światło które z jego komory sypialnej otwartych drzwi od ogniska pobłyskiwało, dopiero go rozbudziło.

Podniósł głowę i postrzegł za progiem stojące córki swe, które się jeszcze nie były pokładły, może dla wielkiej ciekawości tego przybysza w którym się powinowatego domyślały, dobrze nie wiedząc kto był. To samo że ojciec, który nigdy nie przyjmował nikogo, wpuścić go dozwolił i tak długo z nim trwał na rozmowie, świadczyło że mąż był w rodzie swym mocen i wielki.

Słyszały o świątobliwym Biskupie Iwone dziewczęta, a choć ze świata mało tu dochodziło, tem go były ciekawsze. – Jak sam Mszczuj poza granice ziemi swej nie występował od lat wielu, tak i córki trzymał przy sobie zamknięte. Syna nie miał, owdowiał dawno, były one jedną jego pociechą, ale i troską największą...

Spojrząwszy w izbę swą, zobaczył je obie na progu stojące, w bieli, z wianuszkami na głowach, pół uśmiechnięte, pół nastraszone, a że od ogniska światło padało na nie silne, jakoś mu w niem te dwie promienne dziewicze postacie, jak dwa widma wydały się straszne i drgnął.

Dwie córki Mszczujowe bliźniaczkami były, tak do siebie podobnymi że je nawet we dnie, ojciec własny z trudnością mógł odróżnić. To bliźnięce-podobieństwo nietylko twarze białe, oczy niebieskie, kosy złote, wzrost, ruchy, głosy jednemi czyniło, ale dawało im niby jedną rozpołowioną duszę...

Choćby były zdala od siebie, i nie wiedząc o sobie, dziewczęta myślały jedno, robiły jedno, pragnęły tego samego, smuciły się i śmiały razem... Obejść się też bez siebie nie mogły i nie umiały, a gdy przypadkiem na dłużej rozdzielić się musiały, tęskniły do szaleństwa za sobą. – Zachorowała jedna z nich, musiała słabować druga. – Nie potrzebowały mówić aby się zrozumieć, myślały toż samo. Razem się budziły ze snu, usypiały w jednej chwili... Nie sprzeciwiała się nigdy jedna drugiej.

Mszczuj kochał je równo, a naprawdę miłość dla nich była jakby miłością istoty jednej, podwojonej...

Obie miały lat osiemnaście i zwały się imieniem jednym Halki, z tem tylko że ta co niby starszą była Halki imię nosiła, a druga Hali.

Mszczuj wołał na nie jakby na jedną... szły razem na jego wołanie... Odziewały się też tak, że ich odróżnić było niepodobna, a suknie tylko cieńszą tkaniną różniły się od tych jakie nosiły wiejskie dziewczęta, bo Mszczuj z nienawiści ku Niemcom, nic nie dopuszczał do domu coby obcym było wyrobem. Najprzedniejsza rzecz gdy nie swoja była, gdy się nie zrodziła na swej ziemi, w swoim domu, nie miała u niego łaski. Orężem nawet starym musieli się posługiwać jego ludzie, bo z Niemiec i z za granic przywożonego nie cierpiał, łamać kazał i wyrzucał... Wszelakiego też rzemieślnika miał w swoich osadach około Białej Góry i nosiły one nazwiska od rzemiosł, któremi się ludzie w nich zajmowali.

Żaden przekupień, których naówczas już i z Niemiec i ze Włoch włóczyło się mnóstwo po kraju, na ziemię jego stąpić się nie ważył. Wprawdzie wymykali się ludziska na sąsiednie targi pokryjому czasem, aby sobie coś zagranicznego kupić, lecz musieli się z tem kryć, gdyż Mszczuj surowo za to karał...

Jednemu księdzu do mszy świętej wolno było kazać wina przywieść z Krakowa, ale uparty Mszczuj zasłyszawszy że w Czechach dla wina do świętej ofiary, Kneziowie winnice zaprowadzili, u siebie też od Benedyktynów z Tyńca latorośle przywiozłszy, kazał sadzić wino, które, choć marzło i nie dojrzewało, wyrzec się go nie chciał.

Tak było ze wszystkim u niego...

Zobaczywszy dwie swe Halki na progu, Mszczuj stanął i długo patrzył na nie.

– Czegóż wy tu stoicie jeszcze! – zapytał głos swój łagodząc dla dzieci – wszak to pierwsze kury piału?

Halki spojrzwały na się, oczyma się porozumiewając i – nie dały odpowiedzi.

– Spać idźcie – dodał Waligóra – a wstawajcie mi do dnia, aby goście, bratu memu, Biskupowi Iwonowi dopilnować polewki. Pobłogosławi was mąż święty, gdy mu się pokłonicie. Chcę byście i na mszy jego byli, o czym księdzu Żegocie dać znać...

To mówiąc zamyślił się Mszczuj i poprawił.

– Niechno Żegota, jeśli nie śpi przyjdzie do mnie...

Na pożegnanie obie Halki pocałował w główki, i znikły mu biegnąc jak spłoszone ptaszki. Choć późna była godzina księdza Żegoty niedaleko pono szukać musiało być potrzeba, bo ledwie dziewczęta odeszły, mały człeczek, chuderlawy z krótko na głowie postrzyżonym włosom, w ciemnej nie zbyt długiej sukni, szerokim pasem podpasanej w progu się pokazał.

Blady był, przestraszony widocznie, a ręce miał rozpaczliwie załamane gdy wchodził.

Spojrząwszy nań Mszczuj, nie zrozumiał co mu było.

– A co, ojciec Żegoto – rzekł, – doczekaliśmy się Biskupa na Białej Górze...

– A! miłościwy panie! – odparł ksiądz, – czegom się bał tegom się nie ubał... Słyszałem o ks. Iwonie! wiem! srogi jest! Wszyscy teraz Biskupi wzięli na się aby z nas mnichów porobić! Zabraniają żon... nie godzi się nam już rodziny mieć. Wiem, wiem – mówił prędko i niespokojnie, – powiadają że to rozkaz z Rzymu, że pod klątwą żony powypędzać kazano... Gdzie to kto słyszał? U nas tego nie było nigdy!

Przysłał, słyszę, Papież rzymskich Legatów i przeprowadzili wszędzie co kazał. – W Pradze tylko w Czechach księża się oparli że mało w kościele do krwi rozlewu nie przyszło, a u nas, o u nas już...

Spuścił głowę...

– No, widzisz – odparł łagodnie Mszczuj – jam ci to dawno prorokował że ci się z twoją rozdzielić trzeba... Co teraz poczniesz...

Ksiądz Żegota rękami począł trzeć czoło...

– A długo on tu zabawi? – szepnął cicho...

– Nie wiem – rzekł Waligóra – ale czy, dłużej czy krócej przecież mu się stawić musisz, a spyta cię, kłamać nie możesz, a nakaże ci, nieposłuszeństwa nie ścierpi.

Ksiądz jęknął.

– Wasza Miłość wyrzucicie mnie – westchnął – co robić! Żonki, co mi zawierzyła ja nie porzucę, kawałek ziemi wezmę od Miłości Waszej i kmieciem będę, gdy mnie od ołtarza odpędzą...

Zapłakał ksiądz Żegota i ręce podniósł ku niebu.

– Nigdy u nas to jeszcze nie było, aby księżom się żenić zakazywano... Cóżemy winni my cośmy dawniej żony pobrali?

Wszystko to poszło z mnichów, co swoich żon nie mając, wszeteczni są, a na ich wzór i nam teraz już zabroniono.

Łkał i popłakiwał księżyna...

– Chyba mi się nie pokazywać Biskupowi – dodał, – bo pierwsze pytanie będzie – masz żonę? powiem – mam. Każe iść precz...

Oczy zwrócił na Waligórę, który w ogień patrzył.

– Miłościwy panie mój – jęknął – a wyż mnie ubożuchnego sługi swego nie zechcecie bronić?

– Cóżby wam pomogła obrona moja? – spytał Waligóra. – Nie moja rzecz kościelne sprawy wasze... Hetmanowi nic do kleryka, a Biskupowi do żołnierzy... Tyle wiem, mój ojciec, że was nie opuszczę i głodem mrzeć wam nie dam, o reszcie musicie myśleć sami, bo ja się na tem nie znam.

Tchnął i sapnął biorąc się za głowę Waligóra... – Hm – dodał, – za młodu bywałem to ja w Rzymie, księżych żon tam nie widziałem nigdzie, ale... różnie bywało!! gadano wszelako! Musicie słuchać rozkazania, ojciec, czasy się zmieniają...

Ks. Żegota westchnął znowu ciężko, łzy mu płynęły tak obfite że ich nie nastarczył ocierać rękami obiema. Niepewien był czy ma uciekać od Biskupa, stawić mu się i do nóg paść, prosić o miłosierdzie, czy też – co mu się zdało najbezpieczniej – i skryć się.

Schwycił za rękę Waligórę księżyna biedny i stękając ciągle całował ją długo, prosząc o miłosierdzie, choć słowa nie mówił, zakręcił się potem po izbie, jakby chciał coś rzec, ale spojrzawszy na chmurnego gospodarza, odpadła ochota i odwaga, – wyszedł mruczając i znikł w ciemnościach.

Mszczuj co miał zaraz ledz na posłanie, u ognia stanąwszy jak wmurowany, nie widząc chłopaka który czekał – pozostał długo w zadumie głębokiej...

Wstrząsnęło nim całym to przybycie brata Biskupa od lat tylu niewidzianego i zbliżenie się choć słowy do tego świata, od którego przez lat tyle głos żaden doń nie dochodził.

Nazajutrz do dnia zamkowa kaplica, która za kościół parafialny okolicy Białej Góry służyła, przygotowaną była na przyjęcie Pasterza. Był to budynek nieopodal od mieszkalnego dworu, nie zbyt obszerny, bo wszystkie dawne kościoły u nas w początku niewielkie były. W przybytku mieścili się zwykle duchowni i dostojni, a lud stał u kruchty i przede drzwiami. Z drzewa pobudowany, nie odznaczał się niczem prawie oprócz tego że nad czołem miał rodzaj wieżyczki niskiej z krzyżem, w której wisiał dzwonek wołający na modlitwę... Zakrystya była do boku przypartą osobną izbą, sam zaś przybytek, drewnianą galeryjką niską przepołowiony, zawierał jeden ołtarz od ściany odstawiony, okryty obrusami białymi szytymi wzorzysto, a na nim krzyż czarny i świeczniki.

Dwie chorągwie, kształtu Radwanowego przytwierdzone z obu stron do galeryi, świeczniki z rogów jelenich przy ścianach, stanowiły całą ozdobę wiejskiego kościołka. Przez parę okien zamykanych okienniczkami, wlatywały i wylatywały szczebiocząc wróble, które zdawały się tu jak w domu. Dwie Halki, które się bardzo cieszyły z przybycia Biskupa i z nabożeństwa któremu przytomne być miały, od świtu już biegały około tego domku Bożego, do którego drogę wysypać kazały zielonym kosaćcem, a u drzwi zawiesić zielone gałęzie...

Staruszek w długiej sukni czarnej, daleki jakiś powinowaty księdza Żegoty, człek pobożny, któremu nauki zabrakło tylko, aby mógł księdzem zostać jak sobie dusznie życzył, miał w opiece zakrystyę zdawna i pomagał proboszczowi przy kościele. Nosił on opończę kleszą i miał się niemal za duchownego.

On tu z dziewczętami wszystko zawczasu przysposobił, aby gdy Biskup wstanie znalazł do mszy świętej pogotowiu co potrzeba... Księdza Żegoty całe widać nie było. Z narady z Dobruchem, bo tak starego klechę zwano – wypadło ażeby proboszcz chorym był i nie pokazywał się, unikając zapytań na któreby odpowiedzieć nie mógł nie potępiając się.

Wcześniej niżeli się go spodziewano, ks. Iwo wyszedł z książką w rękę, na której modląc się i nie patrząc co się w koło niego działo, poprzedzany przez pacholę dane mu do usługi, wprost udał się do kościoła. U drzwi czekały nań w bieli poubierane dziewczątka, które z bijącym sercem patrzyły na zbliżającego się i gdy już podchodził ku nim, z pochylonemi główkami przyklekły, prawie mu zatamowawszy drogę.

Biskup zobaczył je dopiero, gdy już był u drzwi samych, podniósł oczy i z uśmiechem dobrotliwym, począł się im przypatrywać ciekawie... Dwie te postacie tak bardzo do siebie podobne, taką młodością i niewinnością a prostotą jakąś wiejską nacechowane – wzbudziły w nim uczucie dziwne... Podniósł rękę złożoną do błogosławieństwa, lecz spytał wprzód.

– Dzieci moje... wszakci Mszczujowe jesteście?? Tak?

Dziewczęta nie śmiejąc odpowiedzieć uśmiechnęły mu się wdzięcznie, obie jednym oblewając rumieńcem.

– Niech was Bóg błogosławi! Niech błogosławi! aniołki moje, a zachowa tak czystymi jak jesteście!!

I począł żegnać je krzyżem świętym, gdy one poję jego rakiety ujawszy całowały ją.

Waligóra postrzegłszy że ks. Iwo poszedł do kaplicy już za nim podążał... Z innych budynków co było wiernego ludu, sunęło się co prędzej, bo w tejże chwili Dobruch posłał chłopię do dzwonka, i głos słaby kowanej kampany, brzmiał już po grodzie jakby w święty dzień niedzielny.

Biskup w progu znowu zacząwszy się modlić, wprost szedł do ołtarza. Zdziwiło go to może iż księdza u drzwi nie znalazł, jak być było powinno. Poszedł się pomodlić chwilę u ołtarza, na którym świece żółte woskowe już były zapalone, a zobaczywszy Dobrucha w sukni kleszej u zakrystyi klęczącego – wnet i sam wstawszy skierował się do niego.

Po ucałowaniu ręki Biskup zapytał.

– Coś ty za jeden, bracie mój? Gdzie proboszcz...?

– Chory – wybąknął Dobruch; a jam sługa kościelny...

– Chory? – powtórzył Biskup, niby sobie coś przypominając. – Chory?

Dobruch zaledwie dosłyszonym głosem potwierdził to spuszczać głowę...

Ks. Iwo zadumał się, stał trochę w niepewności jakiejś i głośno się zacząwszy modlić, począł ubierać do mszy świętej. Uboga zakrystya nie mogła mu dostarczyć takich szat w jakich zwykł był zbliżać się do ołtarza. U Mszczuja i kościół nawet musiał obchodzić się domowymi wyrobami. – Kielich był srebrny ale z prosta ukuty, patena takąż, ornat szyty przez dzieci w jaskrawe kwiaty na wełnianej tkaninie...

Dobruch sam szedł służyć Biskupowi... Nie zdawała się ta prostota i pozorne ubóstwo czynić wrażenia na pobożnym panu, który wszystko co miał na chwałę Bożą obracał. Mszę świętą odprawił tak zatopiony w Bogu, w takim jakimś uniesieniu iż nie widział nic co się działo na ziemi; pobożność zaś ta tak była przejmującą wszystkich, tak przenikającą serca iż Dobruch się spłakał przy mszy, dziewczęta wyszły z niej jakby powróciły z innego świata. Sam Mszczuj poczuł się zmienionym i miękkim...

Co mogło tak podzielać na przytomnych, niktby powiedzieć nie umiał. Biskup czytał mszę świętą głosem cichym, nie śpiewał pieśni, nie kazał językiem zrozumiałym, – szepcząc odmówił modlitwy – coś przecie w jego postawie, ruchach, wejrzeniu było takiego, że ilekroć się zwrócił do ludu, ugięły się głowy trwożliwie, padali wszyscy na twarze i uczucie jakiejś straszne a błogie przejmowało ich dreszczem...

A gdy w końcu mszy podniósł rękę do błogosławieństwa, Mszczuj stary miał łzy na powiekach...

Milczenie uroczyste w czasie nabożeństwa, ledwie świergot wróbli przerywał.

Jesienny poranek mglisty i pochmurny dotąd, nagle w końcu mszy się wypogodził, obłoki białe roztwarły i jasne zaświeciło słońce. U drzwi kościelnych na modlącego się Biskupa czekał Mszczuj z córkami swemi, które popłakawszy się przy mszy, teraz jak ptaszynki już wesołe były i rozpowiadały ojcu jak ich ks. Iwo błogosławił...

Wkrótce wyszedł i on rozweselony też na duchu, z czołem pogodnym, witając brata...

– Ubogo u was w Bożym domu, – odezwał się, – lecz Bóg nie potrzebuje srebra ni złota tylko serc... Gorzej bracie że wam proboszcz chorzeje i do służby nie ma nikogo? Cóż? pewnie stary jest? Trzebaby mu pomocnika młodszego?

Mszczuj zamilkł nie chcąc odpowiadać. – Biskup zwrócił się do dziewcząt, które szły za niemi i pochwalił je iż modliły się pięknie, a dziwić począł iż tak były podobne do siebie. To je rozradowało, bo dumne były i szczęśliwe z tego cudu co je przybrał w jedno ciało... a dał im serce jedno.

Znowu weszli oba do tej izby w której Waligóra przyjmował brata wczoraj – a tu już zastawiony był ranny posiłek na stole i polewka gorąca w misach czekała.

Dziewczęta doprowadziwszy gościa do progu, cofnęły się. Zostali sami. Mszczuj posługiwał Biskupowi, który po wczorajszym poście wcale się nie czuł ani osłabionym ni głodnym.

Inna troska go zajmowała.

– Myślałeś com ci mówił wczoraj? – zapytał ks. Iwo. – Ja, nie mogąc więcej, modliłem się aby cię Duch święty natchnął...

Spojrzał nań, na twarzy Waligóry, wczoraj jeszcze jakby burzą wewnętrzną miotanej i niespokojnej, dziś widać było niepewność, zwątpienie, słowem jednym, wahanie się, które wróżyło że się opierać nie powinien.

Poznał to Biskup łącno...

– Otwartym bądź ze mną, – rzekł, – choćbym cię siłą i powagą mojego starszeństwa pociągnąć mógł za sobą i skłonić do posłuszeństwa, nie chcę cię mieć nieprzekonanego idącego mimo swej woli, – chcę abyś i ty pragnał tego co ja...

– Jedno powiem ci – odezwał się Mszczuj, – co wam po mnie!! Znaliście mnie niegdyś silnym onym Waligórą, który i na ludzi i na góry porwać się był gotów – dziś ja jestem inny. Długi ten spoczynek mnie złamał i osłabił, we własną siłę wiary nie mam, aniby się jeden człowiek oprzeć potrafił temu co może napisano w niebiesiech...

Tak jak to nasze królestwo niegdyś wielkie rozleciało się na kawały i ginąć może, tak może i Odrowążom przeznaczono paść, a Jaksom się ich łupem żywić.

I na to patrz, że jam dziś ślepy, ludzi waszych nie znam, nawet tych którym blizkim byłem... Nie wiem co się stało z Leszkiem który rycerzem był dzielny pod Zawichostem, a księżciem być nie umiał... Mógłbym ja to przewidzieć i odgadnąć Iwonie mój, że urośniesz na tego wielkiego Pasterza, który stać będzie na świeczniku?? Tak samo dziś nie wiem co się stało z temi których małemi znałem, czy wyrosli czy skarleli??

Na cóż się wam zdam taki ślepy i tak słaby??

– O bracie mój – ozwał się Biskup – niedługo ci uczyć się będzie potrzeba! Oczy masz wypoczęte, zobaczysz łącniej to na co my patrząc ciągle, obywszy się, już nie wiele postrzegamy...

Odrowążom wodza potrzeba świeckiego, czynnego, tak jak ja im jestem i będę duchownym. Mnie nie na wszystko patrzeć się godzi, nie o wszystkim wiedzieć, nie wszędzie wnijsć, nie zawsze być surowym gdzie potrzeba.

Ja modlić się tylko umiem, przeczuć i zawołać gdy czuję niebezpieczeństwo...

Mówiłeś wczora o królestwie rozerwanem iż mu biada, jać powiem toż samo o rodzie, który gdy głowy nie ma, a spojny nie jest, przepada... Jesteśmy jako trzoda co się wilkom obroni gdy stanie kołem zwartem, a gdy się rozsypie, rozchwycą je.

Ale nie o ród nasz sam idzie mi, bracie, boć w mocy Bożej podnieść go i obalić, idzie mi o królestwo to aby gorzej rozerwanem nie było i straconem dla tej chwały Pana Niebieskiego, na którą ono pracować miało, słowa jego przyjmując do duszy i mogąc je w życie wprowadzić.

Zginie my, padnie z nami kraj w moc barbarzyństwa i na pastwę ludzkich złości...

– A jaż jak się wam zdam do tak wielkiej sprawy, człek tak mały? – zapytał Mszczuj. – Anim Goworka, ani Mikołaja Wojewody nie dorósł, ani Krystyna z Ostrowa o którego losie doszły mnie wieści... Wiesz jak oni wszyscy skończyli! Goworek na wygnanie musiał iść dobrowolnie, drugiego się matka Leszkowa zaparła i musiał się oddać Mieszkowi, służyć mu całemu życiu kłam zadając...

Krystyna wręście Konrad oślepić, uwięzić i zabić kazał za to że mu służył i kraju bronił...

– Tak jest – przerwał Biskup z zapałem – aleć to cnót wielkich działem jest na tej ziemi że one cierpieć muszą za innych i to ich tryumfem że męczeństwem kończą... Ty się zaś złęgo końca nie masz co lękać, bo silną podporę mieć będziesz we mnie. – Ja zaś, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, siłę mam jaką on mi dał na chwałę swą i pożyczę się nie dam łącno. Za mną i ze mną pójda Biskupi wszyscy, i ojciec nasz gnieźnieński i całe wojsko nasze duchowne i cała potęga klasztorna...

– Więc pocóż ja? – zapytał Mszczuj.

– Ażebyś mi był prawicą – zawołał Biskup – ręką w którąbym ja wierzył jak we własną!

Waligóra zamilkł głowę spuściwszy.

– Mów, bracie miły, jako stoicie? co czynić mamy? – rzekł z cicha, już jakby na pół zwyciężony.

– Mamże ci ja opowiadać całe dzieje nasze, których byłeś w części świadkiem po śmierci Kaźmierzowej? – począł Biskup.

– Tak jest, mów wszystko – bo nie wiem nic – potwierdził Mszczuj. – Wszakci nie dziesięć lat już żyję na tej pustyni, a co tu do mnie dochodziło, często tak w ustach ludzkich skrzywiło się żem nie wiedział ani zkaąd szło ani dokąd! Na puszczy głosy giną...

Biskup zlekka poruszył ramionami.

– Chciałeś sam o wszystkim zapomnieć i dlatego ci już dziś powtarzać trzeba nawet to o czym wiedziałeś.

Mszczuj na rękę oparty gotował się w milczeniu do słuchania..., a Iwo zwolna rozpoczął opowiadanie.

– Wiesz dobrze, jako się z dopuszczenia Bożego zmarło Sprawiedliwemu. – Kto był sprawcą tej nagłej śmierci dobrego króla, niewiasta niepoczciwa, wróg, zdrajca, czy sama prawica Boża zesłała tę śmierć, która czasem gdy chce uratować, karze – nie nam sądzić.

Po Kaźmierzu zostały pisklęta... i wdowa, dobra pani ale słaba niewiasta, której z kolei każdy wmówić mógł co chciał, która ze strachu o dzieci i o siebie chwytła się z kolei i Goworka i Mikołaja, a gotową była zawierzyć Mieszkowi staremu, choć znała jakim był dla męża jej, i jak panowania pragnął.

Ledwie Kaźmierz oczy zamknął, już się zbiegło do Krakowa co żyło książąt dobijając o spuściznę po nim, choć dzieci zostały... Znali wszyscy Helenę że ją łatwo dobremi słowy ująć i podejść było można. – Ślężcy książęta i Mieszko chcieli Kraków królowę państwa zagarnąć i byliby potomstwo Kaźmierzowe wygnali ze wdową, gdyby mój poprzednik na stolicy biskupiej nie stanął murem przy sierotach i przy prawie krwi przeciwko prawu wyborów, które państwo na łup fantazyom możnych rzucalo...

Mieszko stary – jako całe życie tak i teraz nie ustąpił. Pamiętasz to przecie że się krwawo musiała sprawa rozstrzygać pod Mozgawą u Jędrzejowa, gdzie się swoi ze swemi wściekle rzezali, a Mieszko syna postradawszy ledwie z życiem uszedł, ocalony przez żołnierza, który byłby go przebił, gdyby hełmu nie zdjął i twarzy mu nie pokazał... Nie pożywszy orężem Mieszko starał się Kraków opanować zdradą i do Heleny udał się opiekunem tylko Leszka być chcąc... Słaba niewiasta usłuchała go, poszła na dobrowolne wygnanie z dziećmi do Sandomierza na Pieprzową górę...

Mieszko zawładnąwszy Krakowem rządy począł po swojemu sprawować; wygnano go wprędce, lecz raz jeszcze Helenę uwiódł słowy słodkimi i gdyby nie śmierć, jużby krew Kaźmierzowa nie siedziała na stolicy... Nam zaś tej krwi Sprawiedliwego potrzeba a nie potomstwa Mieszkowego, bo ze krwią cnota przechodzi i chciwość panowania, która nie baczy na nic.

I to pomnisz jako Laskonogiego, wzięto do Krakowa, – za zezwoleniem Leszka, który panować się nie kwapił. W Laskonogim choć dobrym, łagodnym i pobożnym, krew ojcowska grała, – chciał panować sam i nad ludem i nad nami, którzy władzę naszą mamy od Boga. Potrzeba było usunąć go, aby Leszka, prawowitego pana przywrócić...

Zwycięstwo pod Zawichostem sprawiło, że Krakowianie Kaźmierzowego syna przypomnieli, a Laskonogi mu ustąpił...

Zda się tedy wszystko szczęśliwie skończone – westchnął Iwo – aliści to dopiero początek...

Czuwaliśmy i czuwamy, a przecież nie możemy rzec, abyśmy pewni byli iż siebie i państwo to ocalemy... Pobożni książęta, zazdrośni są władzy naszej i ciągle na nią nastają. Chce się im panować samym, co znaczy że bez Boga i prawa rządzić pragną... Ze krwi Mieszkowej jeśli Laskonogi nam już nie grozi, straszniejszy jeszcze bo popędliwszy i śmielszy Odonicz Plwacz, choć pełną garścią sypie kościołowi nadania, ale chce mu być panem... Tak samo ślężcy książęta, choć pobożni są słowy i życie trawia na postach i modlitwach, z kościołem się zadzierają... Nielepszys wręście nawet

syn Kaźmierzów Konrad Mazowiecki, gwałtowny, chciwy panowania i niepohamowany gdy do celu idzie. Naostatek syn Mszczuja, Światopełk Pomorski, głowa Jaksów rodu, nietylko wybić się chce podległości panu, swemu, ale czyha na obalenie go...

Przeciw nim, jawnym i tajemnym nieprzyjaciołom, przeciw Rusi, – Leszek słabym jest, choć naszą siłę ma i mieć będzie za sobą...

Knują się spiski, które my – ja, mój bracie, więcej przeczuwam i przewiduję niż o nich wiem...

Odonicz wziął siostrę Światopełkową za to aby mu służył, razem idą oba... Ślężcy książęta są z nami, ale jak długo wytrwają gdy im zaświeci nadzieja pochwycenia Krakowa??

Biskup zamilkł głową potrząsając.

– Biada! biada królestwu temu – dodał, – jeżeli albo niespokojna krew Mieszkowa, lub ten co krwi już zakosztował Konrad – albo nawet ziemczale Ślężaki dostaną się na naszą stolicę... biada królestwu temu, bo zamiast być rządzone przez świeckiego księcia, z pomocą i na wspólnie z duchownymi, co go od tyranii wstrzymywać, od bezprawia ostrzegać będą – padnie w więzy jednego człeka władzy chciwego, co pszczoły wybijać będzie aby miód garnął. – Pójdzie w niewolę duchowieństwo, a z niem prawo Boże, miłosierdzie i straż przykazań świętych...

Walka to jest, bracie mój – nie o kawałki ziemi, nie o panowanie tego lub owego księcia, ale znaczniejsza daleko, daleko przeważniejsza o wszelakie prawo człowiecze. Mali to państwo być osądzone jako trzoda bydła, łaską i niełaską albo prawem Chrystusowych dzieci...?

Waligóra słuchał.

– Bracie mój – odparł cicho, – mówię z tobą jako na spowiedzi, odkrywając ci duszę moją. – Nie sroż się na mnie. Walka to jest więc, jak mówisz sam, o to kto panować będzie – książęta czy Biskupi?

– Nie zapieram! – zawołał Iwo powstając, – lecz przypatrz się światu i powiedz mi co lepszego, czy sługi Boże panami waszemi, czy sługi namiętności własnych??

– A między wami, bracie – rzekł Mszczuj, – azali nie ma też sług namiętności – nie mali dumnych i władzy chciwych...?

– Tak ci jest, są między nami tacy, bośmy ludźmi – rzekł Iwo – lecz nas trzyma krzyż na piersiach, strach Boga, przysięga, kapłaństwo nasze. Zapomni się jeden nie wszyscy – świeccy panowie upajają się potęgą swoją, gdy jej granic nie czują. My granicą dla nich, stróżem i stróżami prawa...

Waligóra nie odpowiedział nic – a Iwo dodał po chwili.

– Panowanie Rzymu nie jest dla nas niebezpieczeństwem a jest opieką.

Tak, bracie mój, Leszka wszelkimi siłami podpierać potrzeba, bo ten nie opiera się nam i widzi że z nami tylko bezpiecznym jest, gdy inni nami się posługują aby później znękać nas i w poddaństwo obrócić...

To mówiąc nad schyloną głową starego Waligóry, Biskup w powietrzu ręką drżącą krzyż zakreślił.

– Wstań, – rzekł – i idź – błogosławie ci. – Rzuć wszystko a towarzyszy mi, zobaczysz oczyma własnymi jako byłeś potrzebnym... Z dawnych czasów znasz pewnie niektóre książęta, poznasz innych; zobaczysz jakim się stał ten Leszek nasz, którego my wychowaliśmy.

Waligóra powstał posłuszny rozkazaniu, lecz w mężkich oczach łzy mu się zakreściły...

– A dzieci moje? – wyjąknął po cichu.

– Cóż dzieciom twym na tym gródku zamkowym zagraża? – odezwał się Biskup, – jedna chyba tęsknota za tobą. Nie będziesz przecie tak zaprzętniętym sprawami naszymi ażebyś do domu zaglądać nie mógł. Stara niewiasta ochmistryni zostanie z niemi, służba wierna...

– A! bracie – matki nie mają, a ojca nic im nie zastąpi – westchnął Waligóra.

– Dla czegoż byś córek nie miał z sobą wziąć do Krakowa? – zapytał Biskup.

Słyszając to wstrząsł się Mszczuj.

– Niech Bóg uchowa! do miasta je brać – na ludzkie wejrzenia narażać! Nie – nie!

– Pobożne są, – rzekł Iwo z cicha, – gdzież większe szczęście i spokój dla nich jeżeli nie w klasztorze? Gdybyś chciał, czemu by nie miały z księżniczką Adelajdą siostrą pana naszego, mieszkać w Sandomierzu?

– Nie – odparł Mszczuj – nadto do swobody nawykły.

– Przecież, co myślisz na przyszłość dla nich?

– Sam nie wiem, – westchnął ciężko Waligóra. – Skarb to mój jedyny z którym mi się rozstać będzie trudno, który podzielić nie wiem jak... Pan Bóg mnie nim ubłogosławił i pokarał, bo są jak bliźniaki przywiązane do siebie, tak że żyćby rozdzielone nie mogły i trzebaby chyba dla nich na mężów dwu braci jak one z jednego ojca zrodzonych, coby się rozłączać nie chcieli.

– Któż wie! – szepnął Iwo, azali to właśnie znakiem nie jest, że one dla tego Oblubieńca niebieskiego są przeznaczone, którego serce starczy dla milionów...

Mszczuj nie odpowiedział nic.

Pomimo troski o córki był już tak pod władzą Biskupa, iż mu się opierać nie śmiał.

– Idź teraz – odezwał się Iwo – urządź sprawy swe domowe, zdaj rządy, opatrz gródek – abyś mi, w imię Boże mógł towarzyszyć... Zabieram cię z sobą.

Waligóra i przeciw temu rozkazowi nie śmiał słowa rzec, skłonił głowę i wyszedł, a Biskup korzystając z chwili, leżącą na stole księgę otworzył i spokojnie modlić się zaczął.

A że na modlitwie czas mu zwykły był upływać tak prędko iż nigdy się z nim policzyć nie mógł, choć Waligóra zabawił długo, nie opatrzył się Iwo, gdy go ujrzał z powrotem wchodzącego do izby.

Gdy nań oczy obrócił zaledwie poznał w nim, widzianego przed chwilą. Waligóra zmuszony do podróży, musiał zmienić odzież, przywdziać zbroję dawno już nienoszoną, i jakby po latach wielu zadowolenia znowu do młodszych, zabytych obyczajów powrócić...

Lecz jakże Iwonowi nawykłemu do nowych rycerskich zbroi, oręza i stroju wydał się dzikim i dziwnym... Wszystko co na sobie miał niezgrabne, ciężkie, miało cechę prastarą, i w oczach ludzi na dworze Leszka i innych książąt czyniłoby śmiesznym Mszczuja...

Skórzany pancerz z zardzewiałymi łuskami, chodaki grube powiązane powrozami prostemi, odzież ze skór wyprawnych w domu, sukno z krosien własnych niebarwione, – kołpak który w rękę trzymał z obręczami żelaznemi. – Biskupowi nawykłemu do rycerstwa włoskiego, do dworaków Cesarskich, do świetnych strojów słażkich panów – wydawały się niegodnemi potomka Odrowążów.

– Najmilszy bracie, – zawołał widząc wchodzącego – Bóg widzi że do sukni i marnego przepychu nie przywiązuję wagi, która grzechemby była, – lecz, nie potrzeba być czy ludzkie zbyt ściągają na siebie, a w tem ubraniu i uzbrojeniu... głupi palcami wytykać i śmiać się z ciebie będą.

– Toć by najmniejszym było – odparł Waligóra, – bo mi ich śmiech równie jak poklask obojętny – gorsza to iż W. Miłości wstyd bym uczynił mojem ubóstwem wiejskiem...

Lecz, wszystko co do nas z Niemiec przywożę – dodał – obrzydłe mi i obmierzłe, przeto i zbroi nowych nie mam i nad stare nasze domowe mieć nie chcę.

Iwo się uśmiechnął.

– Więcby ci ze Włoch lub dalszego jakiego kraju chyba ich sprowadzić – rzekł, – a tymczasem choć opończę weźcie abyście jechać zemną mogli... Odrowąż musi rodowi swojemu możnemu, dopóki w świecie jest, postawą odpowiadać. Świecić nie trzeba i śmieszyć nie można. Cesław i Jacek kochani moje grube suknie noszą, ale ci z Bogiem nie ze światem obcuje, a tobie przypada ciężka część, z ludźmi sprawa.

Waligóra stał ku oknu patrząc.

– A! gdybyście mnie nie wyciągali ztąd! – westchnął.

– Bogu nie mnie służyć będziecie – odparł Biskup – bo różne są drogi i powołania, a i w klasztorze i na świecie Mu jednemu służyć trzeba. Nie dla siebie biorę cię, ale dla Pana...

Waligórze głowa na piersi opadła, zawahał się i wyszedł krokiem powolnym.

Słońce już się było pochyliło ku zachodowi, gdy z gródka na Białej Górze, wyruszył Iwo a za nim ciągnął, zwracając głowę ku domostwu, u którego słupów stojąc dwie Halki płakały, stary

Mszczuj otulony ciemną opończę... Jechał jakby jeniec w niewolę wzięty, sercem się odwracając ku spokojnej siedzibie swej, w której lat tyle przebył wśród ciszy – powracając znowu do walki, którą miał za skończoną, do ludzi, których się był wyrzekł, do pracy od której odwyknął.

– Bogu na chwałę! – mówił w sercu swem stary...

IV

Na obozowisku Krzyżackim po odjeździe Biskupa zabawiano się długo rozmowami, któremi nie wiele się młodzież zbudować mogła. Płaszcz z krzyżami, które mieli na ramionach Konrad z Landsbergu i Otto z Saleiden, wcale ich nie powstrzymywały od wesołych rozpraw o świeckich rzeczach, o przygodach na wschodzie, w których piękne niewiasty niepoślednią rolę grały, o rycerskich dziełach przeważnych, o zabawach wesołych w czasie tych wypraw do ziemi świętej, którym towarzyszyły nie święte kumoszki i nie pobożni pieśniarze...

Mówiono o łupach bogatych przy zdobywaniu miast zdobytych, o pochwytych pięknościach i o losach jakim później ulegały w niewoli.

– Ze wszystkiego co tu widzimy po drodze, wnosząc – rzekł ryży Otto, – nic się podobnego w tych krajach spodziewać nie możemy... Wprawdzie ziemię posiąść będzie łatwo, lecz złota i srebra ona nie rodzi... a lud do zwierząt podobniejszy jest niż do człowieka...

– Juści z Niemiec do nas osadnicy napłyną byleśmy kraj ten od dzicy pogańskiej oswobodzili, – odezwał się starszy Konrad...

– A tymczasem, – rozśmiał się Gero, bratanek jego – niczego pono nie mamy wyglądać oprócz ran od ich oszczepów a w zdobyczy kozuchów i łubianych tarczy!!

– Jedna rzecz będzie pociechą – wtrącił młody Hans von Lambach – a przyznaję się że ta mi niepospolicie się uśmiecha – to kraj łowów! zwierza mnóstwo! Jeżeli gdzie to tu się człowiek napoluje do syta!!

– Lubię i ja łowy – rzekł towarzysz jego Gero – przecie one mi nie starczą, po łowach dobrze mieć się przed kim z niemi choć pochwalić – tu zaś nie będzie nawet z kim pogwarzyć...

– Mylisz się – przerwał mu stryj Konrad, – na dworach książąt życie po naszymu, niemieckie, język nasz, śpiewy nasze, ludzie z naszych ziem...

– Tylko kobiet tu naszych brak! – rozśmiał się Gero.

– Są i kobiety nasze – westchnął Krzyżak – ale to bieda że jak żona księcia Henryka Jadwiga... święte bardzo i pobożne, zatem i na dworach ich więcej słyhać psalmów niż pieśni miłosnych...

– Eh – odezwał się Hans – darmo by już i nie mówić o tem co tylko tęsknotę obudza, – gadajmy lepiej o łowach. Ja jutro już muszę trochę w las się puścić, bo mi dłonie świerzbią...

– My jutro w dalszą drogę musimy – rzekł sucho Konrad von Landsberg, który dowodził całym oddziałem...

– Musu przecie nie ma – ciszej odezwał się von Saleiden – co za mus...? Moglibyśmy dać tu koniom się odpaść jeden dzień, a młodzieży dać trochę po lasach popłądrować...

– Tak! tak – rzekł szydlerczo Konrad, – żeby gdzie wpadli na książęce lasy i strażę, albo na jakie ostępy biskupie lub opacie i kłopotu nam naciągnęli.

– Cóż znowu – krzyknął Hans – przecie tym co niosą życie w obronie wiary na pogan, nikt nie może niewinnej rozrywki zabronić. – Radbym widzieć Biskupa lub Opata coby mi śmiał...

Starsi się rozśmieli.

– Patrzcie go jaki pewny siebie, choć jeszcze krzyża nie nosi! – zawołał Otto, – a cóż to będzie gdy was do zakonu przyjmujemy!!

– Więc choćby nam Krzyżakom – dodał Konrad – wolno było coś więcej, to nie wam którzy jeszcze niemi nie jesteście...

– Dodaj stryju kochany – rzekł Gero, – że podobno oba nie będziemy niemi nigdy. Pójść z wami, zapolować na dzikich ludzi, zgoda, ale śluby składać na cały żywot...

– Ten się szczególniej boi – zaśmiał się Otto, – żeby go nie minęła piękna pani i miękkie łóżko...

– Jakby to Krzyżacy się ich wyrzekali! – mruknął Gero... – swoich nie mają, prawda – ale za to cudze na rycerzy słodko patrzą...

Śmiano się i dowcipowano...

Wśród gwarzenia młodzież potrafiła starym, którzy do kubków często zaglądali, wmówić że konie potrzebowały odpoczynku, a oni polowania. Czeladź, której się spieszyć nie chciało, przywołana na świadectwo, potwierdziła to że spoczynek był dla zmęczonych szkap zbawienny.

Zatem rankiem pozwolono się Geronowi i Hansowi sposobić do łowów w lasach sąsiednich, o które nikt się nie troszczył czyje były, ani o pozwolenie na myślistwo. Rycerzom niemieckim zdawało się że na całym świecie wszystko im wolnem było...

Otto von Saleiden, choć starszy od dwóch ochotników, dał się też skusić na łowy... Konrad tylko jako oddziałem dowodzący przy swych knechtach w namiocie pozostać postanowił i wypocząć do dalszej podróży...

Tego dnia gdy Biskup bawił jeszcze na zamku w Białej Górze, Gero, Hans i Otto ruszali ze świtem w lasy, zabrawszy psy które mieli z sobą, i dwoje czeladzi.

Nie znali wcale okolicy, lecz nawykli byli w podróżach kierować się po słońcu, drzewach i ścieżynach, nie obawiali się więc obłąkać, a nie myśleli zbyt głęboko w puszcze zachodzić.

Mglisty ranek jesienny, wilgotny, psom i myśliwym sprzyjał... Zaledwie się puścili od skraju w gęstsze zarośle, gdy gończe ich zławiać poczęły i odzywać jakby już zwierza tropiły...

Zagrzało to młodych myśliwców, którzy ochoczo za nimi podążali. Lecz las mało widać był spolowany, zwierza w nim się legło wiele, psy coraz to nowe trafiając ślady, to tu to ówdzie zrywały się i goniły. Sami łowcy widzieli w gęstwinach przemykające się sarny i pomniejszego zwierza, nie mogąc ani z łuku strzelić, ni inaczej go dosięgnąć. Choć się zrazu wszystko obiecywało najpomyślniej, ale zdawało urągać dwóm niedoświadczonym a gorącym chłopakom, z których starszy Otto się wyśmiewał, sam więcej świadkiem chcąc być niż współuczestnikiem zabawki.

Szyderstwami jego pędzeni Geron i Hans coraz żywiej gnali za psy w las, starając się tylko aby razem trzymać i być sobie pomocą. Parę razy udało się im strzelić z ciężkich łuków, ale bełty poszły próżno lub utkwily w drzewach...

Cały tak czas do południa siebie męcząc i konie, postradawszy psy, które daleko się odbiły i ledwie niekiedy głos ich dochodził, nic nie wskórawszy, błąkali się po lesie, aż ostrożniejszy Otto, ciągle z nich szydząc, nakazał spocząć i sam legł – wołając aby na psy trąbili...

Słońce się już w górę podniosłszy z obłoków wybiło, dzień stał prawie gorący, więc na pagórku wstrzymawszy się wszyscy, zabrali wytchnąć nieco i posilić.

Oba młodzi przeklinali lasy tutejsze i zwierza, który jakby na szyderstwo pokazywał się gęsto, a pochwyć nie dawał.

Trąbiono na psy, rozkładając zapasy wzięte z namiotu, z których głodny Otto najpierwszy skorzystał, bo Gero i Hans sprzeczali się nawzajem na siebie składając winę niepowodzenia...

Powrócić do obozu z próżnymi rękami wstyd było, a choć Otto radził się już mieć do odwrotu, wyprosilili mu się młodzi, by im szczęścia jeszcze próbować pozwolił... Psy też po jednym, z językami powywieszanemi, zziąjane powoli się ściągały... Jeden z czeladzi przybył także opowiadając iż stado dzikich świń napotkał, które musiało przylegnać niedaleko w gęstwinie.

Porwał się zaraz Hans, rzuciwszy jadło i Geronę z sobą ciągnąc, psy nawołując puścił z pachołkiem, który mu miał ukazać gdzie się z dzikami spotkał... Odbiegli nie wiele od tego miejsca, w którym Otto leżał jeszcze na murawie, gdy pod kłodą olbrzymią na pół przegniłą, nagle ruszyło się coś i dwa ogromne białe kły dzika zaświeciły. Psy już z obu stron starego odyńca chwytać próbowały, który z ciężkością zdawał się z pod kłody dobywać... Gero i Hans oba naprzód wypuściwszy strzały, które gdzieś w grzbiecie potwornej bestyi uwięzły, dobywszy mieczów śmiało z niemi rzucili się na dzika, ogarniającego się psom natrętnym.

Hans przypadł pierwszy ku niemu, gdy dotąd, jak nieruchomy nieprzyjaciel, skoczył nagle na biegnącego i kłębem nogę mu rozplatawszy, obalił go na ziemię. Gero, który za nim pędził z podniesionem żelazem, nie miał czasu uskoczyć mu z drogi i cięty z kolei padł mając jeszcze tyle odwagi, że miecz cały dzikowi wraził w szyję. Z nim razem uchodził krwawiąc ranny, a psy szarpały go przytrzymując po drodze...

W gąszcze się zaszywszy znikł im z oczów...

Hans usiłował się podnieść nie czując zrazu by rana ciężką była, lecz zaledwie na rękach się sparł by podźwignąć, padł twarzą na ziemię i przytomność postradał, krew lała mu się z nogi strumieniem...

Gero miał też nogę podciętą do kości na której ostry kiel się zatrzymał; rana jednak mniej była niebezpieczną czy on silniejszy, bo nie straciwszy zmysłów, miał czas trąbkę ująć i choć słabo odezwać się o ratunek... Krzyki które im obu w chwili gdy padali, mimowolnie się z piersi wyrwały, powołały ku nim Ottona i pachółków...

Gdy Saleiden przybiegł na miejsce, przytomny jeszcze Gero wskazał mu nieopodal leżącego Hansa, który jak trup, nie dając znaku życia, wyciągnięty był na ziemi.

– Macie wasze polowanie! – krzyknął gniewnie Krzyżak, opatrując Hansa, którego bladą głowę podniósł w rękach, patrząc na okrwawioną i rozplataną nogę. Do rycerskiego rzemiosła należało wówczas umieć z ranami w pierwszej chwili radzić sobie, i Otto też złożywszy omdlałego na murawie, naprzód rzucił się nogę zawiązywać, aby upływ krwi powstrzymać. Gero choć osłabły toż samo już zabierał się czynić z raną swoją. – Czeladź też wróciła spiesząc na ratunek...

Obwiązano Hansowi chustami straszne owo cięcie, na którego widok Otto głową potrząsając, ledwie nie zwątpił o jego życiu... Gero też ścisnął nogę swą, na którą jednak stąpić nie mógł... Cucono Hansa dającego jeszcze znaki życia, a tymczasem z porady Ottona, jeden z czeladzi siadł na koń aby jakiegoś szukać ratunku i przytułku...

Do obozu, choćby się obu rannych dowieść udało, nie było tam co poczynąć z nimi, a póki żywi nie godziło się ich opuścić.

Otto klął zuchwałą i nieroztropną młodzieź, która zamiast im być pomocą, stawiała się ciężarem. Łajał Gerona który milczał, Hansowi zaś omdlenie powracające nie dołączało słyszeć ni rozumieć co się w koło niego działo.

Tymczasem miało się już ku wieczorowi; a posłany chłopak nie powracał. Wybrał się był szczęściem taki, który cokolwiek mowę tutejszą mógł zrozumieć, bo sam z Pomorza pochodził, lecz dzieckiem gdzieś zabrany, przez Niemców został wychowany. Można więc było mieć niejaką nadzieję, iż natrafiwszy gdzie na ludzi, pomoc sprowadzi. Ale dokoła był las gęsty i na mieszkanie, chatę, człowieka nie łatwo mógł natrafić. Szczególnego na to szczęścia potrzeba było.

Zmierzchało już, gdy w krzakach szelest się dał słyszeć i głosy, a po chwilce ukazał się wysłany, prowadząc za sobą starą kobietę wylekłą, chudą, okrytą koszulą zgrzebną, z siwymi włosami rozrzuconymi na głowie, jakby drapieżna ręka chłopca targnęła się na nie. Prowadził też ją opierającą się mu jak niewolnicę, poganiając bez litości...

Gdy na polankę ową wyszli, a baba zobaczyła leżącego na niej Hansa, Gerona skulonego z nogą obwiązaną i dumnej postawy Ottona, ulękła się bardziej jeszcze i rzuciła składając ręce na kolana...

Chłopak który ją przyprowadził, niemiłosiernie smagał po plecach... Sam pono nie wiedział dla czego się tak znęcał nad starą, ale ze strachu o rannych, przytomność postradał, a nikogo oprócz baby nie znalazłszy w lesie, przygnął ją bezmyślnie prawie.

Rozmówić się z nią było trudno, – Otto przytomniejszy od innych, widząc że krzyk i groźby mogą tylko większym strachem nabawić, zbliżył się do klęczącej, i proszącej o miłosierdzie, pokazując jej rannych i rękami tłumacząc że potrzebowali ratunku. Na poparcie tego języka ruchów, rzucił jej kilka srebrnych pieniążków.

Widok ich podziałał szczęśliwie i baba ośmielona wstała zbliżając się ku leżącym na ziemi; ale popatrzwszy na okrwawione chusty, zaczęła pokazywać także rozłożonemi szeroko rękami że ona nic na to pomódz nie może. Wskazała jednak stronę w której ratunek się mógł znaleźć, a chłopak co ją przyprowadził, wyrozumiał z jej mowy iż należało poranionych nieść do blizkiej jakiejś chaty. Stara ofiarowała się prowadzić do niej.

Ale Hansa nieść było potrzeba, a Gero, choć mógł się wlec z biedy wspierając na ramieniu jednego z pachółków, często musiał spoczywać – i nie rychło do obiecanego dojść mogli schronienia.

Naprawdę musiano zrobić nosze, które do dwóch koni przytwierdzić było można, a na jednego z nich Gero ofiarował się wdrapać, i próbować czy jechać nie potrafi. Nim się znalazły gałęzie, sznury i nosze urządziły, w lesie zupełnie ściemniało, baba byłaby, niestrzeżona łatwo się wymknąć mogła, ale owe srebrne pieniądze uczyniły ją wielce ochotną i czynną. Pomagała czeladzi, chodziła, wyszukiwała, i zrećnie płała gałęzie na których Hans miał być złożony.

Według jej zaręczenia przed nocą mogli, zwolna się wlokąc, dojść do obiecannej chaty... Gdy wszystko było nareście gotowe, pochód ten cały, z Ottonem na przedzie, któremu baba towarzyszyła, puścił się w las powoli. Gero mężnie znosił boleść zaciąwszy zęby i nie chcąc się okazać słabym, Hans jęczał i omdlewał, cucono go wodą i pocieszano tem że podróż nie potrwa długo.

Otto choć milczał, w duchu przeklinał całą tę szaloną młodzików wyprawę.

Gąszczami bez drogi prowadziła baba dosyć długo, dopóki na jakąś ścieżkę widoczniejszą się nie dostali. – Tu już nadzieja wstąpiła w serca, bo stara coraz ręką ukazywała przed siebie, oznajmując iż byli niedaleko od chaty...

Jakoż między gałęzmi zabłysnęło światelko, dym się dał uczuć w powietrzu, drożyna szerszą się stała i zabudowania jakieś ukazały się przed niemi. Była to chata leśna, na pół w ziemi, pół nad ziemią, przyparta do wału, ostrokołów i wrót co je zamykały.

Znaleźli się właśnie u tej granicznej strażnicy Białej Góry, przez którą przed nie wielą godzinami przejechał nazad Biskup Iwo wiodąc z sobą brata...

Orszak biskupi który tu nań oczekiwał, wyruszył za niemi... Baba wyprzedzając Ottona pobiegnęła dać znać stróżowi – a ten natychmiast uzbrojony w swój drąg kuty zjawił się przestraszony. Od lat wielu jak tu siedział pilnując granicy nie trafiło mu się nigdy dwu naraz podróżnych widzieć u tych wrót, które stały zaparte zawsze, wpuszczając i wypuszczając tylko rzadkich posłańców Waligóry...

Stary tym ruchem który nagle przerywał mu spokój zwykły, był przerażony i gniewny. Wyjazd pana, który nigdy się z zamku nie ruszał, niebytność jego w domu, jeszcze pomnażała trwogę.

Przywłókł się sam aby przypatrzeć przybywającym, i widząc rannego na noszach, skaleczonego na koniu, a obok dumnie nakazującego rycerza Ottona, stracił głowę.

W chacie w której on sam mieścił się z żoną i wyrostkiem, nie było dla podróżnych nawet barłogu wygodnego, aby ich złożyć można, dla koni brakło szopy, a na pobyt dłuższy pokarmu dla ludzi.

Otto tymczasem pobrzękując mieczem, krzyczał i kłął aby chatę opróżniono. Stróż stary ze strachu nie wiedząc co począć, zbiegł do chałupy, drzwi zamknął i drągiem zawałił ze środka, zasunął okiennice, i zdał się na wolę Bożą.

Baba napróżno szturmowała do okien zamkniętych, usiłując przekonać stróża, aby przyjął rannych do siebie...

Tymczasem Hans jęczał coraz boleśniej.

W niewielkiem oddaleniu był obóz krzyżacki, ale o nim Otto nie wiedział, zupełnie się obłąkawszy na polowaniu; dla poranionych gwałtownie trzeba było szukać jakiegoś ratunku... Baba przekonawszy się że tu ich stróż nie przyjmie i nie myśli im otwierać, choć mu nagrodę obiecywano, – zaczęła niewyraźnie bąkać o Białej Górze.

Chłopak który się coraz lepiej z jej mową oswajał, wyrozumiał iż jakiś gród był za wrotami temi niedaleko, i że do niego nie puszczano nikogo...

Temu uwierzyć nie chciał...

Otto von Saleiden jak tylko mu o Białej Górze oznajmiono natychmiast postanowił z rannymi jechać do niej, zwłaszcza iż gródek miał leżeć niedaleko. – Wrota wprawdzie stały zaparte przed niemi, ale na to Krzyżak wcale zważać nie myślał... Zakląwszy okrutnie dał znak by jechać ku nim. – Sam zsiadłszy z konia, począł do starych wrót się dobijać, czeladź wyłamała je łatwo.

Dopiero usłyszawszy łomot ten stróż zamknięty w swej chacie, wybiegł bronić z drągiem, ale naówczas już Otto i za nim ciągnące konie, baba co drogę pokazywała, cały ów pochód przebył okop i ostrokoły i puścił się drogą ku zamkowi.

Noc była ciemna i chłodna, a mgła jesienna okrywała doliny, i w górze tylko gdzieniegdzie blado gwiazdy migotały, gdy Otto ujrzał bramę znowu przed sobą. Począł z całych sił trąbić.

Tych wrót obronnych ani mógł myśleć zdobywać...

Stanęli oczekując aby się im kto zjawił od grodu. Nierychło coś zaszarzało na wyżkach i słaby głos począł pytać – kto i czego chciał tutaj...

Pytania trudno było zrozumieć, a niemiecka odpowiedź na nie Ottona, ten skutek miała iż człowiek znikł z wyżek i głucho nastąpiło milczenie.

Otto niecierpliwie trąbił znowu, a dobierał najwzraskliwszych rogu swojego głosów, które musiały wszystkich pobudzić.

Wzdłuż wałów i na bramie zaczęli się pokazywać ludzie, poglądać na stojących u wrót, lecz ni do rozmowy ani do otwierania nie okazywali ochoty. Stara przewodniczka wzięła na siebie przemówienie do ludzi zamkowych... Opowiadała im coraz głośniejszym i krzykliwiejszym gdzie i jak tych Niemców napytała i jak się tu dostali.

Ktoś w ostatku złażał ją za to, że naprowadziła na gród nienawistnych ludzi, jakby nie wiedziała że noga ich nie powstała nigdy na gródku Waligóry...

Po długich krzykach i sprzeczkach, ktoś z góry, czy miłosierdziem tknięty, czy chcąc się zbyć niepokoju, – kazał podróżnym jechać pod wałami na podzamcze i tam w szopach jakichś szukać schronienia.

Przystępu do zamku wzbroniono zupełnie... Pana w domu nie było, a gdyby o Niemcu się u siebie dowiedział, własnąby spalił siedzibę, żeby ślad stóp jego zatrzeć.

Już Otto miał się według wskazania skierować ku szopom, do których też sama baba prowadzić się ofiarowała, gdy z bramy do stojącego na koniu Ottona zwiesiła się głowa człowieka, którego po ciemku rozpoznać mu było niepodobna i cicho a ostrożnie, łamaną niemiecką mową rozpytywać zaczęto...

Krzyżak posłyszawszy zrozumiałe mu wyrazy, miał się za ocalonego...

– W imię Zbawiciela i matki Jego N. Panny Maryi, której my sługami jesteśmy, – krzyknął zapalczywie, – cóż to za kraj? jacy w nim mieszkają ludzie? Czyśmy już do pogan się dostali?? – Jesteśmy zakonnicy szpitalni niemieckiego domu z Jerozolimy, jedziemy przyzwani przez księcia Konrada do objęcia danej nam ziemi i walczenia z poganymi...

W drodze młodzież naszą spotkał przypadek w lesie, sroga bestya na którą się nierozważnie rzucili poraniła nam ich okrutnie... Żebyśmy też przytułku i ratunku nie znaleźli!!

Westchnienie słyszeć się dało z góry.

– Kraj ci to chrześcijański, – odparł głos – ale pan grodka tego z niemieckimi rycerzami i nierycerzami wcale do czynienia mieć nie chce... A i doma go nie ma, bez niego zaś nikt się tu was wpuścić nie waży.

– I dacie tym szlachetnym młodzieńcom ginąć marnie! – zawołał Otto rozpaczliwie.

Nie dano na to odpowiedzi, aż po chwili, rzekł cicho ktoś.

– Jedźcie tam do szop na podwalu – jedźcie. Chrustu jest dosyć by ognia zapalić, a i woda poblizu się znajdzie. – Ztąd może się uda wam dać pomoc jaką...

– Macie pewnie ktoby umiał rany opatrzyć – przyślijcie go, zapłacimy... – krzyknął Otto dumnie.

– Jedźcie! – powtórzono z góry...

Znów tedy drogą na podwalu, musieli ciągnąć przybyli, aż się szopy opuszczone, z chrustu plecione, z dachami na pół poobrywanymi pokazały... Dawno widać nikt tu oprócz bydła gdy je burza z pola wracające napadła, nie mieszkał. – Lecz co poczynać mieli?

Baba dowiódłszy ich tu, a bojąc się pewnie by ją za posługę Niemcom nie karano, przysłała się zegnać do Ottona, to jest o zapłatę się upomnieć i zamyślała uchodzić, Niemiec znowu dał jej trochę pieniążków, ale puścić nie chciał, bo służyć nie było komu...

Kazano jej chrust zbierać i ogień niecić. Czeladź pilnowała, musiała być posłuszną.

Była już noc późna; na grodku słyszeli piejące kury i naszczekujące psy, które poczuwszy obcych, straszliwie na wałach ujadają i wyły...

Gdy ogień zapłonął, Otto dopiero mógł się nieco rozpatrzeć po okolicy. – Z jednej strony we mgle nocnej majaczyły bory czarne i płaszczyna która się zdawała błotnistym moczarem, z drugiej sterczało nad niemi grodzisko, góra, wały i ostrokoły... Nawykłe do postrzegania oko Krzyżaka dopatrzyło w pewnym oddaleniu na górze, małej furty w ostrokole, od której ścieżynka kręta prowadziła ku szopom...

Otto się jeszcze rozglądał, gdy u furty zobaczył cień człowieka jakiś, który zdawał się z niej wysuwać i ostrożnie ku nim spuszczać ową drożyną... Nie dowierzał oczom swym, lecz po chwili człek ten zbliżać się zaczął ostrożnie i Krzyżak mógł nawet rozpoznać że był przygarbiony, niewielkiego wzrostu, opończą z kapturem osłonięty. Światło od ogniska padało na niego i długi cień idącego na pochyłości góry wyciągnął się, ruchomy, ginąc w mrokach...

Otto śmiało wystąpił naprzeciw niemu. Postrzegłszy go idący kroku zwolnił, i oba ciekawie przypatrywać się sobie zaczęli. Zamkowy człek z bladą twarzą, nierycerską miał postawę, a broni żadnej – obawiać się go nie miał potrzeby Otto, a był też tak mężnym że i czterechby się nie uląkł...

Był to ksiądz Żegota. On też to ciekawością i miłosierdziem powodowany, dobył z siebie tych słów kilka niemieckich, niegdyś wyuczonych gdy się na duchownego przy niemieckich zakonnikach sposobił. – Nigdy on z tym językiem nienawistnym nie wydawał się przed Waligórą, zapomniał go wiele, – ale dziś rad był iż cokolwiek jeszcze mu z niego zostało.

Pamięć młodości, wdzięk zakazanego owocu, może zbytnia Waligóry ku Niemcom nienawiść, w starym księdzu Żegocie budziły uczucie przeciwne. Język wydawał mu się prawie miłym, miał urok jakiś i powagę; przedstawiał mu się jako mowa ludu który naówczas orężem i wpływem sięgał aż do stolicy Rzymu...

Dnia tego, niebezpieczeństwo od którego uszedł szczęśliwie, czyniąc się chorym i uniknąwszy surowego wyroku Biskupa Iwona, dawało mu usposobienie litościwe, czyniły przez wdzięczność dla Opatrzności za jej łaskę, miłosiernym...

Pomimo więc iż się wykradając z grodka do nienawistnych Niemców narażał na gniew Waligóry, zbiegł ks. Żegota w pomoc tym, którzy jej potrzebowali...

Strach go przejmował, ale szedł, zakrywał twarz, zmienił głos – a wstrzymać się nie mógł.

– Czem wam można być pomocą? – wyszeptał zbliżając się do Ottona... – Wcale źle was do tego miejsca przyprowadzono, nasz miłościwy pan, Comes Mszczuj Odrowąż z Białej Góry, możny i wielkiego rodu mąż, nie lubi narodu waszego... Gdyby on był w domu, nicby się tu nie można spodziewać, – odpędzićby kazał...

Ja, jestem kapłanem, – choć wiem że za to pokutować mogę, radbym braci zakonnej służyć, alem ja człowiek biedny, sam i nie wiele potrafię, choćbym najmocniej chciał!!

Otto baczenie się mówiącemu przypatrywał słuchając.

– Niemcy czy ktokolwiek jesteście – rzekł – przecież ludzie! Nie godzi się zabijać, to przykazanie Boże, a ten zabija kto nie ratuje!

Dwóch ślicznych młodzieńców leży rannych – jęczą i nie ma ich opatrzeć komu...

Ulitujcież się – głodni jesteście, siły się wyczerpały. – Radźcie, a gdy tu ratunku nie można się spodziewać, dokąd się udać...

Niedaleko ztąd obozowisko nasze być musi, ale i do tego trafić trudno, a gdybyśmy się tam dostali cóż z ciężko poranionymi zrobimy, zmuszeni jutro w dalszą drogę do księcia Konrada, który na nas czeka...

Ksiądz Żegota czoło tarł i ramionami rzucał, to ręce chude załamywał...

– Co ja w domku ubogim mam, tem się z wami podzielę, – rzekł, – nawet i ostatki oddam. Znajdę też może starą niewiastę, co się zna na ranach i ziołach... ale tu wam długo trwać nie można. Nie wiem kiedy nasz stary powróci, a gdyby wrócił – biada wam i biada mnie.

– Wpadliśmy w tęgą matnię, przez tych młokosów – odezwał się Otto – lecz i w Bogu nadzieja że nieopuści i w najgorszym razie otuchy stradać się nie godzi.

Dawajcie naprzód co macie, potem pomyślimy o dalszym.

Ks. Żegota spuścił się jeszcze milczący ku szopie w której ranni leżeli, poszedł na nich rzucić okiem – podumał, zamruczał i skłoniwszy się przed Ottonem na zamek powrócił.

– Przecież i tu w tej dziczy, – zawołał Otto, – znalazła się jedna dusza chrześcijańska i człek co rozumie język ludzki!!

Czeladź sama krzątała się jak mogła około Hans'a. Gero z wielkiej biedy odzyskał trochę młodzieńczej wesołości na przekorę... Nogę sobie sam obwiązywał i razem towarzysza pilnował, a z czeladzi podżartowywał.

– Żebyśmy byli choć tego dzika ubili i zjeść go mogli, – mruzczał, – a tak co myśmy mieli jego, on nas skosztował. W tym kraju wszystko na opak się dzieje!

Otto niespokojny, jednego z pachołków z lepszym koniem mimo nocy już wyprawił szukać obozu, aby oznajmił Konradowi o nieszczęśliwej przygodzie.

– Jedź, – mówił mu, – musisz pędzej, później napytać naszych, powiedz co się stało i że my tu między nieprzyjaciół popadliśmy. Niech brat Konrad myśli o nas...

Nierychło furta na wałach znowu się otworzyła i zamiast jednej pokazało dwie postacie i dwa cienie, które szybko do szop się zbliżały... Ks. Żegota niósł kosz w rękę, za nim z narzuconą na głowie podwiką wlokła się stara baba...

Lekarzy innych nad takie znachorki mało gdzie znaleźć było można. Na gródku owa Dzierła, którą za młodu zwano pono Dzierlatką, bo była żwawą i swawolną – pełniła obowiązki wszelkie jakie na baby owych czasów przypadały. Wróżyła, zamawiała, babiła, niańczyła, dawała zioła miłosne i sposoby na ludzi, a źli mówili, że najrzęczniejszą pono pośredniczyła między parobkami a dziewczętami. Działo się to jednak tak skrycie że nikt o tem na pewno nie wiedział, a komu pomogła ze strachu milczał, bo groziła zemstą.

Na gródku miała jakiś chleb łaskawy, nie pełniąc innych obowiązków oprócz że około drobiu, trzody, stadniny radziła czasami... Ale wszyscy jej potrzebowali, a co więcej, wszystkich zabawiała opowiadaniem, bo nikt nad nią więcej baśni, gadek, powieści osobliwych nie umiał. Dziwowano się jej z kąda ona to brała, bo się nigdy jej powiastki nie wyczerpywały... Nawet dwie Halki zachodziły do izby w której dziewczęta przedły, aby jej słuchać wieczorami.

Lubili ją ludzie, bo się każdemu przypodobać umiała, a choć za plecami drwiła niemal z każdego, nikt się tego nie domyślał, tak była w oczy słodką...

Dzierła choć nie młoda, bardzo jeszcze starą nie była, a nosiła się tak śmiesznie, jakby młodą chciała udawać... Czasami wkładała nawet wianuszek na głowę, choć do niego dawno straciła prawo, i obwieszała się błyskotkami, palce miała całe okryte mosiężnymi i srebrnymi pierścieniami, wstążki a opaski krasne lubiła niezmiernie. Chuda, żółta, opalona, miała oczy czarne ogniste, kibić jeszcze gietką i gibką i zdala czasem ją kto mógł wziąć za dziewczynę...

Ksiądz Żegota miał do niej wstręt wielki, ona bała go się mocno, posługiwać się nią jednak musiał, nie mając jej kim zastąpić, a ona chętnie skinieniu była posłuszną, aby sobie zaskarbić łaski.

I teraz też wyciągnął ją gdzieś z kąta, aby szła opatrzyć rany.

Sam on, wiedząc co chorym i znużonym potrzeba, w koszu niósł trochę wina którego do Mszy św. używał, kawał białego pieroga, trochę mięsa wędzonego, sera i masła.

Wesoła Dzierła wstępując na próg szopy i widząc z kim mieć będzie do czynienia, przybrała postać poważną i wprost szła do Hansa...

Stała nad nim przyglądając mu się długo, spytała od jakiego zwierzęcia ranę dostał i głowę trząść poczęła o kle dzika postłyszawszy. – Kłękła potem ranę opatrywać, ku czemu już miała z sobą hubę, zioła i szmaty...

Tymczasem ks. Żegota dobywał z kosza przyniesione zapasy, a Otto ujrawszy dzbanuszek nie czekając na innych, wyrwał mu go prawie z ręki, chciwie do ust niosąc...

Gero się też jadła i napoju dopominał; tylko Hans biedny gdy mu nogę zakrwawioną odsłonięto, krzyknął z bólu i omdlał tak że go winem z wodą cucić musiano.

– Panu Bogu niech będą dzięki – oddychając rzekł Otto, – jeszcze nie zginiemy na tej pustyni! Są ludzie!!

V

Zaledwie ks. Iwo z podróży swej do Krakowa powrócił i zajechał na dworzec biskupi – ledwie miał czas z konia zsiadłszy rozmówić się z gromadzącymi się na przyjęcie jego duchownymi, gdy już na zamku o nim wiedziano i od księcia Leszka biegł komornik z pozdrowieniem, który zarazem niósł prośbę, aby Biskup tęskniącego za nim pana co najrychlej odwiedził.

Waligóra którego Iwo przywiózł z sobą, w miarę jak do stolicy się zbliżali, wznawiającej jakieś stare wspomnienia niemiłe, smutniał i stawał się coraz bardziej milczącym i ponurym. Nawet łagodne a dobre słowa brata, nie mogły go wyrwać z tej ciężkiej zadumy.

Biskup gdy wjeżdżali do miasta sam modlić się zaczął i toż bratu polecił.

– Módlmy się, – rzekł, – wielki to oręż i skuteczne lekarstwo modlitwa...

Mszczuj także modlitwy szeptać począł... Lecz mimowolnie owo miasto dawniej mu dobrze znane, niewidziane przez długie lata, oczy pociągało ku sobie.

Urosło było, zmieniło się, rozsiało szerzej, domostwa wypiękniały, przybyło kościołów...

Ks. Iwo rzucił okiem ojcowiskiem na drewniany kościółek Ś. Trójcy, przy którym osadził Dominikanów, na poczęty Panny Maryi, co miał stać w rynku... Oczy mu się zwilżyły i myślał.

– Dałby Bóg jeszcze żywota trochę, przyrośnie świątyni, przybędzie ludzi, wzmoże się potęga duchowieństwa... na chwałę Pana!!

Mszczuj z Biskupem razem, nie dając się poznać kim był, i skromne zajmąwszy miejsce w orszaku, przybył do dworca, gdzie na dany znak przez ks. Iwona zaraz go w osobnych izbach umieszczono... Nie pokazał się już dnia tego.

Ani na zamek mógł Biskup podążyć, bo i godzina była opóźniona i w domu siła zostawało do roboty, po kilkodniowej niebytności...

Mało nie od wszystkich Biskupów z całej Polski czekały nań listy i posły z ważnymi sprawami.

Waligóra gdyby był się przypatrzył tym duchownym, którzy na powitanie brata spieszyli, zgorszyłby się był bardzo, gdyż liczba księży i mnichów cudzoziemców niemal przemagała. Czarne, szare, białe, brunatne habity wszelakich zakonów, różnego kroju cisnęły się do ukochanego Pasterza, który tego wojska Chrystusowego zastęp jak mógł pomnażał...

Odzywały się tu języki wszystkie od łacińskiego począwszy, który powszechnym był, do włoskiego, francuzkiego i niemieckiego, bo zakonnicy z różnych krajów napływali gromadnie. Sam zaś Biskup Iwo, który za młodu w Paryżu razem z późniejszym Papieżem Grzegorzem IX, nauki kończył, a potem wielokroć do Włoch podróżował, mówił temi językami tak dobrze jak swoim. Dar ten Ducha świętego był mu udzielony, że się ich uczył łatwo i nie zapominał nigdy... Nie miał też tej miłości tak wyłącznej dla swoich, jaką Waligóra się chwalił, a byle człek był pobożny, nie patrzył jakiego rodu.

Oczy gorliwego kapłana zwracały się na zachód i południe z miłością wielką, gdyż tam rozkwitało to życie duchowe, które wiek ów znamionowało. Tam płynęła rzeka ognista, której tu ledwie ciekły małe strumyki...

Dwu razem wielkich apostołów wydały naówczas kraje południa, Hiszpania Ś. Domingo, Włochy Ś. Franciszka, tego miłośnika ubóstwa, który przeszedł przez życie w upojeniu, w extazie, we śnie niebieskim, ze śpiewem na ustach, cały w Bogu, z ranami cudownymi, z widzeniami archaniołów, otoczony ubóstwem, rozkazując ptaszętom, opiekując się owieczkami, całując trędowatych... Tysiące ludzi rzucało za jego przykładem zbroje, jedwabie, rozkosze, skarby, władzę i siłę, aby wołać wtórując mu

O beata solitudo

Sola beatitudo!...

Gdy Franciszek szedł na pustynię, Domingo z ognistym słowem, pies Boży z pochodnią w ustach, – biegł między niewiernych, męczeństwa chciwy... Dwóch tych ludzi co się wzajem dopełniali, spotkali się w jednym uścisku na drodze ku niebiosom...

Dawne zakony zjadło jak rdza bogactwo i rozpusta, dzieci Franciszka chciały nic nie mieć oprócz chleba jałmużny, dzieci Dominika chodziły we włosiennicy i okrutne były dla samych siebie...

Iwo już dwu swych synowców oddał był Dominikowi, nie starczyło mu Cystersów, Norbertanów, starych zakonów które już siedziały na ziemi jego, pragnął nowych zapaśników, żądał nade wszystko aby mu przynieśli iskrę tego ognia miłości Bożej, który płonął za górami!

Trzeba mu było przyszele pokolenia wychować na dzieci tych ojców, dla których ziemia była tylko drogą do niebios...

Wprawdzie wiara chrześcijańska krzewiła się bujno i wszyscy niemal świeccy władcy byli gorliwymi synami Kościoła; wprawdzie Henryk Brodaty z małżonką żyli prawie klasztornym żywotem, ona z zakonnicami, on w kościele, Laskonogi sypał szczodłą dłońią duchowieństwu, Płwacz szerokie nadawał ziemie i szersze jeszcze prawa, których się dla niego wyrzekął, Konrad brat Leszków, ścigał niemieckich zakonnych rycerzy – tego wszystkiego jednak dosyć nie było... Nieraz ci sami tak święci i pobożni książęta oporem swym Biskupom zmuszali ich aż do klątw. – Modlitwa nie broniła od chęci panowania wyłącznego, od wstępu do dzielenia się władzą – duchowieństwo więc co panującym panować chciało, nie mogło ustać w pomnażaniu sił swoich...

Zakony i książęta byli zapaśnikami do boju... Rozsadzano ich gęsto, aby tą siecią opasać wszystkie ziemie i co było rozszarpanego świeckimi prawami, Bożem prawem zjednoczyć.

W tej chwili ta walka duchowieństwa z ziemskimi potęgami u nas, zdawała się na korzyść pierwszego rozstrzygać. Rzym stał po nad korony i berła, rozrządzał niemi, i tam gdzie cesarska nie sięgała potęga, on był panem, którego prawu nikt nie śmiał zaprzeczać...

Z panujących na ziemiach polskich kto miał za sobą duchownych, sam tylko był pewien że się utrzyma.

Od Bolesława Szczodrego rosła moc Biskupów, pod metropolitalną władzą Arcybiskupa Gnieźnieńskiego skupiające się w jedną siłę... A przecież byli tacy jeszcze co jej stawili opór, co znosili klątwy i żyli z niemi, a znajdowali się kapłani co im mimo klątwy mszę odprawiali... i kościołów nie zamykali...

Trzeba więc było dalej wieść walkę zażartą z władzą świecką..., a duchowieństwo baczne oprócz własnych żołnierzy, miało po sobie wszędzie prawie możnych i rycerstwo, w którego obronie stawało...

Biskupi krakowscy straszni byli książętom, broniąc praw rycerstwa i stojąc za jego swobodami. Mieszko Stary przez nie się utrzymać nigdy nie mógł przy Krakowie, który czterokroć umiał pozyskać; przez nie panował Kazimierz Sprawiedliwy, ono wyniosło i trzymało Leszka.

Dzieje tych dni są jednym pasmem kościelnego boju, który wytwarza prawie bezwiednie swobody społeczne, i rozbudza miłość ich, nieustannym czuwaniem nad władzą książąt, – aby się ona nie wzmogła...

W pomoc tym usiłowaniom przychodzi duch wieku, który ziemskiem wszystkim wzgardzić każe i pomiać. – Za przykładem świętych ascetów dwory książąt stają się klasztorami, księżne wkładają włosiennice, książęta zaprzysięgają czystość i zrzekają się potomstwa dla odziedziczenia nieba. Książęce córki zamiast ślubować królom, ślubują Oblubieńcowi niebieskiemu... Skarby wszystkie idą na ozłocenie ołtarzy, na zbogacenie świątyń...

W tej extazie tysięcy ludzi, wzgardzających ziemią, idących we włosiennicach, w biczowaniu, o głodzie – szturmem do nieba jest coś tak wielkiego i wspaniałego, tak poetycznie pięknego iż najchłodniejszy z ludzi nie może nań patrzeć obojętnie.

Gorącość ta ogarnia tłumy, małe kościoły na pomieszczenie pobożnych nie starczą, kazalnice stoją przyparte do murów aby tysiące słów Bożych słuchać mogły. – Jak niedawno dwunastoletni

chłopcy rwali się z orężem na nieprzyjaciela, rycerskim owiani duchem, tak teraz dzieci przeistaczają się w ascetów...

Zapał jest powszechny, zaraźliwy, porywający...

Iwo ciągnie za sobą całą rodzinę, we włosienicę odziewa swe bratanki, ogromne włości oddaje klasztorom – wprawia w podziw szczodrobliwością swą królewską, w której nie zna miary...

Na chwilę blask tego apostolskiego żywota ćmi nawet stolicę metropolitalną i Gniezno gaśnie przy Krakowie...

Tu się jednoczą wszystkie usiłowania i plany, ztąd płyną rozkazy; tu stoi prawdziwy wódz całego ruchu.

Gdy Mszczuj zamknięty w izbie którą dlań przygotowano, dręczy się zmianą jaka zaszła w jego życiu i duchem buntuje przeciw bratu, który słowem umiał go zwyciężyć i rozkazaniem poprowadzić za sobą, – Biskup Iwo otoczony swojemi żołnierzami, niezmordowany, czynny, sprawy zaległe odprawia, aż dopóki godzina ostatnia nie zmusiła go iść do spoczynku, aby mszę jutrzejszą mógł odprawić...

Na zamku pańskim oczekiwano nań napróżno do późna, Iwo obiecał się ze mszą na Wawel, na jutro...

Tu pozorny spokój panuje, i dobra myśl... Leszek cieszy się synem, wszyscy jego nieprzyjaciele prawie pokonani, Henryk Ślązki z nim idzie, Konrad go potrzebuje, Laskonogi jest mu posłusznym, jeden wichrzyciel Odonicz, jeden krnąbrny Światopełk Pomorski, jego pomocnik burzą się bezsilni napróżno... Tych już nie orężem, ale postrachem samym łatwo będzie pokonać...

Leszek myśli tak i pewien jest że całe duchowieństwo w pomoc mu przyjdzie, aby krnąbrnych zmusić do posłuszeństwa...

Ze mszy świętej na Wawelu, którą Biskup sam odprawił, król, królowa i liczny dwór małą napełniający świątynię, – ciągnął do zabudowań zamkowych. – Ktoby się był przypatrywał mu zdala, a nie znał osób, łatwoby się mógł omylić szukając oczyma pana; nikli wszyscy, nawet ten co się nim zwał, przy poważnym, pierwsze miejsce zajmującym Pasterzu. Otaczali go z uszanowaniem, witano go z radością – był duszą tego dworu i głową tego księżęcia.

Leszek syn Kaźmierzów, jak ojciec miał oblicze łagodne i wesołe, trochę dumne, rycerskie, ale na czole jego nie widać było głębszej myśli, ani w oczach tej bystrości jaką miał ojciec. Nie odziedziczył też po nim tego zamięłowania mądrości, tej żądzы prawd i wiedzy, jaką Kaźmierz całe swe życie karmił. Na twarzy jasnej nie było troski, ale pragnienie spokoju, wiele dobroci i łagodności, jakby potrzeba opieki i silnego ramienia. Oczy nie widziały daleko, umysł nie chciał sięgać w głębie ciemne. Leszek potrzebował ciszy, zgody, i małych rozrywek rycerskich, do których przywykł od dziecka... Zwycięzca Rusi pod Zawichostem, miał rycerską postać i na polu bitwy mężnym był do zapamiętałości, ale waśni nie wywoływał, ale zawsze przejednania pragnął. Jasnowłosy, niebieskooki, gładkiego lica rumianego, kwitnący zdrowiem, nie zdawał się czuć brzemienia panowania i starał zrzucić je z ramion.

W zgodzie być ze wszystkimi, jednać i łagodzić chciał, aby mu życie nie ciążyło.

Dlatego chętnie był Krakowa ustąpił Laskonogiemu, chętnie dał dział bratu, pojednał się ze Ślżakami, a i teraz pochlebiał sobie że Plwacza i Światopełka zmusi do układów i zgody... O brata na Mazowszu zupełnie był spokojnym – uśmiechała mu się przyszłość ta, którą prorocze oko Biskupa Iwona widziało chmurną i groźną, bo lepiej znał ludzi.

Obok pięknego Leszka, który pochylony nieco szedł przy Biskupie, jak dziecię przy ojcu, uśmiechając mu się – postępowała strojna i wdzięczna żona jego Grzymisława, na której czole niewieścim spokój i wesele mężowskie się odbijało. – Na twarzach dworu Leszkowego, choć widać było chęć wtórowania panu, niektóre z nich, starszych zwłaszcza były posępne – zrezygnowane, zadumane...

I Biskup też dnia tego po wieczornych i rannych rozmowach z duchownymi, z troską jakąś wszedł na zamek. Głęboko przejęty odprawiał mszę świętą, zdała się go razić ta wesołość nieopatrzna; lecz w pierwszej chwili zatruwać jej nie chciał...

Zaledwie wszedłszy w podwórze zamkowe, Leszek po kilku pytaniach o podróży Biskupowi rzuconych, zmienił obrót rozmowy, i zaczął o pięknym czasie do łowów, do których się przysposabiał...

– Gdybym na was, ojczy mój, nie czekał, – rzekł obracając się ku niemu, – jużbym był ruszył w lasy – alem rękę waszą chciał ucałować i Kraków, a sprawy na których wy się lepiej niż ja rozumiecie, pod waszą opieką zostawić.

– Piękna to i miła rycerska zabawa te łowy, – odrzekł Biskup, – ale miłościwy panie, na waszych ramionach dużo leży, wiele biednych się na was ogląda...

Ja sądzę że gdy tyle spraw zalega, znowu *Colloquium* było potrzebne, lub w krakowskim albo w sandomirskim...

W *Colloquium* zastąpicie mnie *Comesami* i przedniejszym rycerstwem – rzekł Leszek, – sędzia mój nadworny, podsędek, kanclerz... Jam chyba tam na to potrzebny ażebym miejsce zajął poczyste... A czyż są sprawy tak pilne?

– Znajdą się zawsze byle wiec był zwołany – odparł Biskup...

Leszek westchnął.

– Ludzie bo, – dodał, – spokojnie żyć nigdy nie mogą.

– Są ludźmi! – westchnął Biskup.

– Sądzić sprawy! – dorzucił książę, – sądzić sprawy, naówczas gdy taka jesień śliczna do lasu woła; gdy skwary letnie przeszły a zima ciężka jeszcze daleko... Prawda ojczy mój – panowanie jest niewolą zarazem – i – jak powiadają, im wyżej kto siedzi tem mocniej się poci...

U drzwi zamkowych księżna uśmiechem wdzięcznym pożegnała Biskupa, spieszyła do Bolka swego, którym się oboje tak cieszyli jak pierworodnym i jedynym.

– Zobaczysz dziecię i pobłogosławisz, ojczy nasz, – rzekł książę, – rośnie w oczach, a rozumny jest iż zdumiewa wszystkich!

– Niech rośnie na pociechę naszą – odparł Biskup nieco roztargniony...

Leszek ciągle wesoło zagadując wprowadzał Iwona do wielkiej izby gościnnej, gdy ten zatrzymał się w progu i szepnął.

– Miłościwy książę, radbym z wami, kanclerzem Mikołajem i Markiem Wojewodą, trochę pomówił na osobności, lepiej nam będzie w komorze waszej niż tu, gdzie nas łącno niespodzianie kto zająć może...

Dwór właśnie tłumnie napływał do izby, Leszkowe oblicze sposepniało, znać było że mu ta na osobności rozmowa mięszała szyki, mąciła spokój, że radby ją był bodaj odłożyć – lecz z Iwonem gdy co rzekł, – opór był trudny...

Tuż za nimi szli ci powołani przez niego, stary Mikołaj Repczol kanclerz, w czarnej sukni duchownego, z bladą twarzą wielkimi pofałdowaną marszczkami, mąż silnej budowy na oko, lecz zmuszony na kiju się opierać. Twarz jego może skutkiem cierpień wewnętrznych więcej jeszcze troski i zadumy wyrażała niż Biskupia. Iwo też większą pewnie miał wiarę w przyszłość nad niego. Drugim był Marek Wojewoda mąż też lat już podeszłych, ale rycerskiej postawy, którego oczy niespokojne do czuwania nawykłe, biegły badając zarazem twarz Iwona i Leszka... Z nich dwu większą i pilniejszą uwagę zdawał się zwracać na Pasterza. Wszyscy tu tak mu ulegali jak sam książę.

Leszek też zmusił się zaraz do przybrania łagodnego wyrazu i z pośpiechem zwrócił się ku komorze swej, którą na znak pański stojące u drzwi otwarło pacholę... Było to najmilsze schronienie pana, izba w której tylko pożądanych a poufanych przyjmował gości. – Z niej naturę i charakter księcia poznać mógł każdy łatwo... Ścian prawie w niej widać nie było tak zawieszono ją całą rozmaitego rodzaju bronią myśliwską i rycerską, w której Leszek się kochał.

Był w tem ład pewien i zamiłowanie widoczne... Szeregiem stały zbroje lżejsze i cięższe, wschodnie i włoskie, niemieckie i starodawne z blach i naszywanych łusk składane. Rzędami stały hełmy od dawnych ciężkich i mniej kształtnych, do tych które teraz zdobiono rogami, skrzydły i postaciami zwierząt złoconymi i malowanymi...

Świeciły pasy rycerskie drogiemi kamieniami i emalią, wisały przy nich miecze, mieczyki, puginały, noże myśliwskie; dalej oszczepy kute, włócznie, siekierki bojowe, buzdygany z przywieszonymi na łańcuchach kulami, najeżonemi ostremi strzały, łuki sadzone, kołczany, tarcze...

Cała jedna połać świeciła większemi i mniejszemi szczytami, z wizerunkami lwów, orłów, gryfów, a w pośrodku na jednej misternie wyrzeźbiony i pomalowany był rycerz jadący konno, który niedźwiedzia rzucającego się nań oszczepem uderza. Taki sam wizerunek jak na tej tarczy chciał Leszek mieć na swej książęcej pieczęci...

Podłoga pańskiej komory cała była grubo wysłana skórami zwierząt, ubitych ręką pana. Chłubił się on tem że, dwie komnaty zasłał tym łupem łowów, wśród którego i pamiętny niedźwiedź leżał, co już konia Leszkowego pochwycił był łapami, gdy mu cios zadał śmiertelny...

Izba ta wprawdzie najmilszą była książęciu, ale do poważnej narady najniebezpieczniejszą, Biskup wiedział o tem z doświadczenia, bo ilekroć tu się odbywały obrady, Leszek je zawsze przerywał, mówiąc o swych zbrojach, orężu i czynach łowieckich. Jak myśliwy, jak rycerz lubiał o tem rozprawiać, a najmilszemi mu byli ci co słuchali go chętnie i podziwiali zręczność jego, której zresztą nikt nie mógł zaprzeczyć.

Iwonowi wskazawszy miejsce na wysłanem krześle, książę sam stanął naprzeciw niego, a za nim sparty na kiju swem kanclerz i w bok ujmujący się Wojewoda.

Lice Leszkowe znowu jakby błagając o litość Biskupa, uśmiechało się do niego, z Iwona uśmiechu wywołać nie mogąc. Widać było że książę nic się zbyt ważnego nie spodziewając w rozmowie, krótko ją sobie zbyć życzył.

Spojrząwszy na Biskupa, który się zadumał, myśląc od czego pocznie – Leszek też zachmurzył się.

– Mam to nieszczęście – odezwał się Iwo, – żem ja zawsze prawie przeznaczony być dla miłości waszej, złej wróżby ptakiem...

– Owszem, – odparł Leszek żywo – wy mi jesteście najlepszym opiekunem i ojcem...

– Ale z miłości i troskliwości ku wam – zawsze złe wieści przynoszę...

– Czyż złe? ojczcie mój? – spytał książę ręce składając...

– Życie wszelakie twardem jest, a samiście rzekli, – odezwał się Biskup, – im kto wyżej siedzi.

– Radźmy więc na to złe – żywo rzekł Leszek, – radźmy aby je usunąć. – Lecz wy, ojczcie mój drogi – dodał, – wy z tej ojcowskiej waszej pieczołowitości nademną, często może więcej widzicie złego niżeli jest... Ja radbym i w zło i w złych co je sprawiają nie wierzyć...

– Przecież, miłościwy panie, – westchnął Iwo, – dopuszcza Bóg zło aby było dobrego probierzem...

Nastąpiła milczenia chwila.

– Sam będąc dobrym, – dołożył Iwo, – nie chcesz, miłościwy panie, wierzyć w ludzką przewrotność.

– Lecz, o kim mówicie? – nagłąc i spiesząc aby prędzej się uwolnić – zawołał książę.

– Zacznijmy od Odonicza – odezwał się Biskup, – ze złych pono ten najgorszy, jeżeli pierwszeństwa nie trzeba jeszcze przed nim dać szwagrowi jego Światopełkowi. Odonicz chciwy jest panowania jak dziad jego Mieszko, ma jego żądze i upór żelazny i przykład jego przed sobą – ale stokroć winniejszy Światopełk, który waszą i ojca waszego łaską na wielkorządcę Pomorza wyznaczony, chce je nieprawie i niewdzięcznie zagarnąć i oderwać...

– Ah! – zawołał Leszek – Światopełk ma butną Jaksów krew w sobie, – to prawda, lecz któż wie czy Odonicz jego czy on Odonicza podburza i szczwa... Oba oni razem nie zdają mi się niebezpiecznymi...

– Miłościwy panie – przerwał grubym, ponurym głosem kanclerz Mikołaj – lękam się aby do nich dwu jeszcze kogoś trzeciego nie potrzeba przyłączyć do rejestru nieprzyjaciół twych...

Leszek odwrócił się ku niemu, zmarszczony, z wymówką w twarzy, niemal z groźbą do której nie był nawykły. Kanclerz skłonił głowę i zamilkł.

– I jaby był tego zdania że Światopełk z Odoniczem nie mieliby odwagi – dodał Biskup, – gdyby nie oglądali się na kogoś, czyjego imię wymówić nawet usta się wzdrygają.

Leszek drgnął cały, podniósł głowę obrażony, i zdawał się na chwilę krótką nawet poszanowania należnego Biskupowi zapominać.

– Ojcie! – zawołał. – Krwawicie mi serce! a krwawicie je napróżno! Domyślam się kogo mi jako nieprzyjaciela wskazać chcecie. Ale nie! nie! nie chcę temu uwierzyć, nie uwierzę i gdybym miał się omylić, gdybym miał omyłki paść ofiarą, wolę zginąć niż posądzić – brata... Jednej matki dzieci – my...

– Jesteście różni jako Abel i Kain – odezwał się Iwo z siłą wielką. – Wspomnij księżę młodość! Byliście kiedy podobni do siebie? Wy miłością jesteście, srogością tamten; wy dobrocią, on okrucieństwem, wyście władzy niechciwi, on panowania żądny...

Leszek słuchał z głową spuszczoną, chmurny, lecz nieprzekonany.

– Konrad tak złym nie jest, jak się – obawiacie, – rzekł. – Gorętszym odemnie jest Bóg mu dał więcej siły, więcej też pragnień, lecz w sercu jego...

To mówiąc okiem rzucił po przytomnych, wszyscy dziwnie niedowierzająco, niemal z politowaniem słuchali. Leszek zatrzymał się na chwilę i dokończył.

– Konrada zostawmy w pokoju.

Marek westchnął, Iwo spojrział na kanclerza – umilkli.

– Mam złe poszlaki – odezwał się po długim przestanku Biskup – potrzeba czuwać przynajmniej, wiedzieć, badać, aby nas nie pochwyliło niebezpieczeństwo nieprzygotowanych...

– Odonicz – przerwał nagle Leszek, – walczył z Laskonogim raczej niż zemną, wszystko się skończy, gdy ich podzielim i pojednamy...

– A jestże sposób pojednania ich gdy jeden wszystko chce posiadać i wydrzeć drugiemu? – zapytał Biskup.

– Przypomnijcie sobie – odezwał się Leszek łagodnie, – ową wyprawę Henryka Wrocławskiego na mnie, gdy on też chciał mi odebrać Kraków, chciał wydzierać i z wojskiem stał nad Dłubnią.

– Krew się już lać miała, przecież pobożny, święty Henryk mój, usłuchał rady, dał się przekonać, zażegnaliście tę burzę... i uścisnęliśmy się jak bracia, zamiast wojować jak wrogowie.

– Rzekliście – odparł Biskup – Henryk był pobożnym i świętym, dlatego słów zgody usłuchał, a Płwacz nim nie jest... a Światopełk zdrajca, wie że zgody z nim być nie może!!

Usłyszawszy to zachmurzył się Leszek i usta mu się ścięły.

– Radźcie więc wy – zawołał z rozpaczą jakąś – jam ślepy i nieudolny – radźcie!

– Ani ślepi, ani nieudolni nie jesteście – przerwał Biskup do uścisku ręce podnosząc – ale dobrzy do zbytku, a ona dobroć znając źli z niej korzystają!!

Znowu się rozmowa przerwała, wszyscy spoglądali na Leszka, który mimo łagodności, nie ustępował ze swych przekonań...

– Radźcie, – rzekł z rozrzewnieniem jakimś powolnie księżę – ja wam tylko jedno przypomnę, że oto, dzięki opiece Bożej, ja z mą ślepotą i nieudolnością gdym już wydziedziczonym był przez Laskonogiego, panuję, gdym przez Henryka wypędzonym być miał – siedzę na stolicy mojej. – Dzieckiem wyganiał mnie nieboszczyk stryj tylekroć, Opatrzność mi zwracała co on wydzierał – i oto w spokoju i błogosławieństwie rządę i panuję... Opatrzności też tej tak zawierzam, iż gdybym wrogami otoczonym być miał, nie złękne się – i w spokoju losu mojego oczekiwać będę.

– Jeżeli tak – odparł z wolna Iwo powstając – cóż my czynić mamy? Ja tej ufności w bezpieczeństwo nie dzielę, choć Opatrzności wierzę... My nad wami czuwać musimy!

Leszek jakby się ciężaru zbył, zbliżył się do Biskupa prędko i rękę jego ucałował.

– Radźcie, – rzekł – czyńcie co uznacie słusznym, ja się zastosuję do światłej rady waszej...

W tejże chwili zwrócił się do Marka Wojewody...

– Miły mój – tarcz tych ciężkich, obładujących zbytnio żołnierzy naszych, czasby zaniechać.

– Nie wiem czym wam pokazywał niemieckie nowe, jak przedziwnie lekkie są.

To mówiąc książę zwrócił się do rzędem wiszących na ścianie szczytów. Marek Wojewoda ruszył ramionami...

Biskup powstał z siedzenia...

– Mówicie o zbroi – ja zaś muszę do spraw moich...

Książę pospieszył go żegnać, i rad że się ciężkiego pozbył sporu, z wielką uprzejmością odprowadził Iwona, aż za próg dworu. Tu odebrawszy błogosławieństwo i widząc że Marka Wojewodę zabierał mu od tarczy Biskup, zwrócił się wracając do młodego Pakosza, ulubieńca swojego, skinąwszy nań aby szedł z nim do zbrojowni...

A tu się wnet o broni nowej, i o łowach żywe się rozpoczęły rozprawy.

– Święty człek nasz Biskup Iwo, – odezwał się do Pakosza – ale na rycerskich sprawach cale się nie rozumie... i z nim o niczem mówić nie można, chyba o takich świętych jak on i o tych których on chce nawracać, aby też świętymi byli.

Kocham go jak ojca! ale smutny jest jak noc, i z sobą mi przynosi zawsze gorycz jakąś...

Pakosz głową potwierdzał co pan mówił, nie śmiejąc słowami. I począto mówić o lekkich tarczach...

VI

W kilka dni potem wieść się po Krakowie rozeszła, która na dworze Leszkowym, na dwa obozy podzielonym, wielkie wrażenie uczyniła.

Rozpowiadano o tem jako Biskup brata swojego, od dawna zapomnianego, który od lat wielu na wsi się zagrzebał i wyrzekł był świata, gwałtem wyrwał z pustelni i przywiózł do Krakowa, nakazując mu tu ze znacznym dworem stać na straży przy sobie.

Znano starego Waligórę tylko z powieści jakie o nim chodziły w tych czasach, gdy mu dano to jego przezwisko. Wiedziano iż pan był możny, że Niemców miał w ohydzie, siłę olbrzymią a wolę żelazną.

Wnosili więc wszyscy, iż znowu przygaśła na czas wojna między Jaksami a Odrowążami wybuchnąć groziła, gdy tego pomocnika ściągać Biskup potrzebował. Waśń tych dwóch możnych rodów stara już była i nie od dziś dnia się poczynała.

Jakowie sobie rościli prawa wielkie krwi swej i rodowi należne, pochodzenie wiodąc od kneziów jakichś, a sięgając aż do Pepelków... i Leszków prastarych. Nie rzadko słyszeć ich było można z tem się odzywających że nim Piastowie przyszli do panowania, oni już je w rękach dzierzyli.

Odrowążowie, choć starzy w sandomirskiej ziemi jak ona, choć mnogiemi majątnościami władający, nie wiedli się z tak wysoka. Ale oni rośli właśnie, gdy Jakowie maleli. Jeden tylko stary Mszczuj dobił się był wielkorządów na Pomorzu, które potem na syna Światopełka wyprosił, a drugi powinowaty mu Marek krakowski był Wojewodą. Na nich dwu reszta się opierała.

Iwo Odrowąż który miał oko prorocze, z niedowierzaniem patrzył na ród pragnący panowania i roszcący sobie jakieś do niego prawa. Nawzajem Jakowie czuli w nim nieprzyjaciela stojącego im na zawadzie...

Syn Marka Wojewody czasu jednego był wyprawiony z innemi Jaksami i Odrowążami spółem na straż od pruskiej granicy. Szli z nim Dzierżek i Budziszlaw powinowaci Biskupa. Za podmową Jana Jaksy, który nienawistnych sobie Odrowążów chciał na rzeź wydać, pierzchnęli naówczas z częścią wojsk, i byli przyczyną że Dzierżek syn Abrahama i Budziszlaw Izasławów, wraz z wielą innemi schwyleni przez pogan, życiem zdradę tę przyplacili.

Naówczas Iwo Biskup, krwi swej przelanej mszcząc się, wymógł na Leszku iż winnych, Jana z towarzyszymi sromotnie z majątności i urzędów powyrzucano...

Marek Wojewoda krakowski mszcząc się za syna i powinowatych, uknuł naówczas spisek we Wrocławiu z Henrykiem Brodatym i wyciągnął go na Kraków i na Leszka.

Zagrożony książę wezwał na pomoc brata, wojska z obu stron spotkały się nad Dłubnią, lecz pobożnego Henryka duchowieństwo, a na czele jego Iwon skłonił do zgody. Ślżak przypomniał sobie radę żony, aby cudzego nie pragnąć, nastąpiło przedjednanie uroczyste i gody...

Markowi Wojewodzie Leszek zawsze łagodny i wspaniałomyślny przebaczył, innym Jaksom pofolgowano – nastąpiło przedjednanie, albo raczej zawieszenie broni.

Lecz ani Iwo od nich mógł być bezpiecznym, ani oni mu dowierzali. Ogień tlał pod popiołem.

Pozorna zgoda kryła tajemne knowania. Marek Wojewoda służył Leszkowi przed biskupem wszechwładnym skłaniał głowę, mówił że uraz dawnych nie pamiętał, lecz w duszy Światopełkowi powinowatemu życzył dobrze, i kto wie jakie roił w przyszłości odmiany. Poszlakować go było trudno, zawierzyć mu niebezpiecznie.

Pod samym bokiem Biskupa miał Wojewoda syna mistrza Andrzeja kanonikiem. Temu już zawczasu infułę krakowską przeznaczono, a choć uczony i pobożny mąż nie rad był może przeciw Pasterzowi swemu występować, choć z pokorą był dla niego, – nie mógł i ten o swoich zapomnieć, a wpływom ojca i brata się opierać.

Wojewoda Marek, jakeśmy widzieli, wzywany był do rady, Iwo przy nim mówił otwarcie o Światopełku, za którego on ujmować się nie myślał, – lecz w sercu co się działo, Bóg jeden wiedział a Biskup zgadywał.

Musiał się więc mieć na baczności, jeżeli nie dla siebie, to dla pana swego, któremu groziły niechęci skryte i przywiązanie kłamane.

Zjawienie się Waligóry w Krakowie, zaniepokoiło Jaksów.

Wiedziano że baczny a rozumny Biskup naprózno nic nie czynił i brata potrzebować musiał, gdy go tu ściągnął. Obawiano się też aby mu jakiego znacznego przy księciu nie powierzono urzędu, przez który wpływ Odrowążów wzmógłby się jeszcze.

Lecz nie słyhać było aby Waligóra stawiał się na dworze pańskim, spostrzegano tylko że ludzi ściągał, czeladź zbierał, i na dobre się tu rozgaszczał. Tegoż dnia po rannej radzie, która spełzała na niczem, po krótkiej rozmowie z Biskupem, Marek Wojewoda zasepiony i niespokojny wrócił na swój dworzec – pod zamkiem.

Wawel na którym mieszkał książę, dom biskupi po nim, wreszcie wojewodziński, stanowiły naówczas trzy ogniska, trzy siły, od których zależały kraju losy. – Na grodzie książęcym walczyły z sobą dwa wpływy: Biskupa który Leszkowi był radą i ojcem duchownym, i Marka Wojewody, nie śmiało ale zręcznie starającego się krzyżować zamysły pobożnego Biskupa. Ilekroć Iwo stanowczo żądał czegoś, Wojewoda ulegał, nie występował przeciwko niemu otwarcie, potajemnie zawsze prawie idąc w przeciwnym kierunku.

Po otrzymaniu przebaczenia za zbieżenie do Wrocławia i przerwienie się na stronę Henryka, Wojewoda musiał być ostrożnym. Z Leszkiem szło mu łatwo, bo ten chciał zapomnieć urazy i zawierał ochotnie, ale Biskupa wystrzegać się musiał...

Zaledwie przybywszy do domu, którego podwórca i izby zawsze pełne były rycerstwa i zaciężnych żołnierzy, hałasu i wrzawy, Wojewoda posłał po syna mistrza Andrzeja, mieszkającego przy Biskupie; – sam zaś wyszedł do dworzan oczekujących nań, starając się troskę ukryć, udając wesołość i myśl swobodną.

Dwór wojewody był tak prawie liczny jak książęcy i na wzór jego złożony. Ochmistrz, komornicy, kanclerz, dwóch kapelanów, koniuszy, podczaszy, skarbnik, młodzież dorodna do posług rycerskich nie odstępowali nigdy starego hetmana. Z małymi wyjątkami była to gromadka lub z Jaksów, Jaksyców, ich powinowatych, albo z przyjaciół rodu złożona.

W nadziei osadzenia kiedyś na katedrze biskupiej syna, Marek posyłał go za granicę dla nauki, uczynił go kapłanem, postarał się dlań o kanonię krakowską – i – czekał na spadek po Iwonie.

Lecz, nie zupełnie był rad ze swego syna. Andrzej do serca wziął powołanie, a obcując z pobożnym Iwonem, powziął dlań cześć wielką i nie chętnie dawał się ojcu używać za jego planów narzędzie.

Mistrz Andrzej posłusznym był rodzicielskiej władzy, jak na bogobożne dziecię przestało, zawsze gotów do obrony rodziny, lecz – niechętnie posług tajemnych się podejmował i przeciw Pasterzowi coś czynił.

Był to człowiek młody jeszcze, postawy któraby więcej przystała rycerzowi niż księdzu, ale twarz jego, na której nigdy prawie uśmiech nie zawitał, onieśmiałła i budziła nawet w ojcu niepokój. Zdawał się oczyma bystreimi przenikać na wylot człowieka, czytać w duszy – a namarszczone brwi i usta dumne mówiły że co wyczyta tego nie przebaczy.

Prędzej niż się Wojewoda spodziewał, mistrz Andrzej, którego posłany na drodze spotkał, zjawił się na dworcu, z wielkiem uszanowaniem witany. Ojciec czekał nań w swej izbie sypialnej, bo chciał się rozmówić sam na sam.

Zastał go syn głoszącego ogromnego starego psa ulubieńca, który już na nic się nie zdał, bo stracił węch i słuch, lecz Marek trzymał go jako wysłużonego...

Na widok syna powstał Wojewoda, a takie było poszanowanie dla duchownych, iż go przyjął jakby obcego i w rękę się nie dał pocałować. Posadził go zaraz przy sobie, pytając czyby pić lub jeść nie chciał.

Postem się wymówił mistrz Andrzej. Ojciec wesołą przybrał postawę.

Zdradził się tylko pytaniem za pospiesznem z troską swoją.

– Biskup powrócił! – wyrwało mu się.

Syn spojrział nań bystro, spuścił oczy...

– Tak jest – odparł krótko.

– Nie wiem gdzie bywał, – rzekł po chwili Wojewoda – ale znowu pełne rękawy strachu przywiózł, aby księciu nie dać nigdy spoczynku.

– Nic nie wiem – odezwał się syn obojętnie.

– Cóż? kryje się przed wami? nie zwierza? – dodał szybko Marek. – Można się tego spodziewać. Odrowąż zawsze Odrowążem, gdy Jakse Gryfa zobaczy przed sobą!! Ani my ich ni oni nas zapomnieć nie mogą!!

– O sprawach świeckich nie mówimy nigdy, – odparł syn – a w rzeczach Kościoła Biskup Iwo jest dla mnie ojcem łaskawym i uskarżać się nań nie mogę...

– Tyś zawsze rad wszystkiemu, – począł żywo Wojewoda. – Ale właśnie to dowodzi że nam i tobie nie dowierza, iż z tobą o sprawach świeckich nie mówi...

– Jam się do nich nie rad mięszać – rzekł Andrzej ciągle spokojnie.

– A przecie powinienes – stanowczo i z naciskiem podchwycił Marek. – Wiadomo to wszystkim że masz kiedyś zastąpić Biskupa Iwona na tej stolicy. Patrzajże czy on zaniedbuje sprawy świeckie? Wcześniej się do nich gotować potrzeba.

– Ojczy miły – przebaknęła oczy spuszczać Andrzej, – wcale to jeszcze niepewna komu Pan Bóg przeznaczył zastąpić Biskupa Iwona. Ja się tego nie czuję godnym, a kapituła krakowska wybierać będzie sama i narzucić nie da Pasterza.

Uśmiechnął się Wojewoda.

– Z kapitułą potrafiemy się porozumieć, – rzekł cicho...

Rumieniec jakiegoś wstydu wystąpił na lice mistrza Andrzeja, lecz przez poszanowanie dla ojca wstrzymał się od odpowiedzi.

– Biskup z sobą przyciągnął brata – rzekł Marek zmieniając rozmowę. – Znałem go niegdyś, gwałtownym był, siłaczem wielkim... ale wicherzył zawsze... Pokoju z nim nikt nie miał, osiadł był gdzieś na śląskiej granicy i długo go tu słyhać nie było, po cóż teraz go zwołali?

– Nie wiem! – odparł Andrzej.

Zżymnął się Marek – namarszczyła mu się brew...

– Mówmy otwarcie – rzekł głos zniższy i stając przed synem. – Czuje to dusza moja że nam Jaksom znowu niebezpieczeństwo zagraża. Iwo jest mściwy.

Mistrz Andrzej wstał z siedzenia i złożył w krzyż ręce na piersiach.

– Ojczy miły, przebaczcie, Iwo mściwym nie jest!

To zaprzeczenie wzruszyło Wojewodę, który zdał się chcieć wybuchnąć, i powstrzymał.

– Nie znasz go! – zamruczał.

– Ojczy drogi – obcuje z nim codziennie, mąż jest Chrystusów, człowiek święty... a zemsta jest niechrześcijańską i zabronioną zakonem...

Wojewoda popatrzył na syna z politowaniem i wyrzekając się sporu, zamilkł...

– Światopełk jest naszym powinowatym, – począł zwolna, – jeden ród, jedna krew. Kole ich to w oczy że na Pomorzu władą, chcieliby go wygnać, pomawiają o zdradę, czynią go współnikiem Płwacza...

– Płwacz się z jego siostrą Helingą ożenił – szepnął Andrzej.

Cała ta rozmowa tak widocznie dolegała mistrzowi Andrzejowi, odpowiadającemu z musu, pół słowami, iż ojciec widząc że go wciągnąć nie potrafi w nią, zamilkł i nagle spytał.

– Cóż ten Waligóra tu zamyśla?

– Chociażbym rad coś o tem powiedzieć – odezwał się Andrzej, – nie wiem nic cale. Zdaje się że Biskup go chce mieć przy sobie.

– I użyć do swych zamiarów! – przerwał Wojewoda – i pewnie go przy Leszku umieścić, aby na straży stał gdy Biskup sam nie może.

Któż wie, Iwo gotów mu kasztelanię krakowską dać, lub mnie gdzie odegnać, aby go na mojem miejscu posadzić. Mnie on nie wierzy!

Andrzej spojrział w tej chwili na ojca takim wzrokiem, że stary się zasromał i pogniewał. Słów mu zabrakło.

– Tyś bo się tak księdzem stał iż Jaksą być przestałeś! – zawołał. – Suknia ta cię przeistoczyła.

– Na mnicha mi patrzysz, a tegom ja z ciebie mieć nie chciał...

Andrzej wstał z siedzenia i poszedł uściskać ojca. Surowa twarz jego, drgała jakimś uczuciem.

– Mój ojcze, – odezwał się potrząsając suknią czarną – myśmy rycerstwo Chrystusowe, a tak jak rycerz wdziwając zbroję o wszystkim musi zapomnieć, by w oręż swój włożyć duszę, i my, tem więcej – dla zbroi naszej świata zabywać musimy...

– Mnichem przecież nie jesteś!

– Ale też same mam śluby i obowiązki – rzekł Andrzej.

– Nim je przyjąłeś miałeś inne dla rodu i ojca – zawołał Marek.

– Tych się wyrzekłem gdym postrzyżony został! – westchnął mistrz Andrzej.

Wyraz twarzy ojca świadczył o tem że i przekonany nie był, i nie rad całemu sporowi z synem. Westchnął, poszedł do okna, psa cisnącego się odpędził.

– Nie mamy więc co mówić z sobą! – dodał...

Zapukano w tem do drzwi, oba spojrzeli, ostrożnie je odchylając wszedł mąż, starszy latami od Andrzeja, podobny do niego, a więcej jeszcze do Wojewody, z twarzą pooraną fałdami przedwczesnymi, namiętą, srogą, z oczyma które z pod brwi gęstych ze zwierzęcym lśniły wyrazem.

Był to ów Jan, – zwany w rodzinie Jaszkiem, niegdyś pierwsza przyczyna walki z Odrowążami, ten co ich na rzeź wydał na pruskiej granicy... ukarany odebraniem rycerskiego pasa i wygnaniem. Schronił się on był do Czech, które wówczas dla wszystkich niemal zbiegów z Polski były przytułkiem, a po dwóch latach tajemnie powrócił. Dobry Leszek choć wiedział o tem, przebaczywszy ojcu, syna nękać nie chciał. Patrzano przez szpary że na dworze ojca przebywał, nie czyniono mu nic, lecz i do łask nie powrócono. W obawie od Odrowążów Jaszko ciągle pod ramieniem ojca i poza nim się tulił.

Życie to obrzydło mu, pałał więc nienawiścią największą do Biskupa, do rodziny, i ojcu za jego powolność ciągle czynił wyrzuty. Wojewoda miał doń słabość, jako do swego pierworodnego.

Na widok wchodzącego Jaszka, mistrz Andrzej powstał aby brata idąc ku niemu uściskać, – lecz ten zimno go głową pozdrowił i prawie niechętnie powitał niewyraźnymi słowy.

Zwrócił się ku Ojcu.

– Nie wiedziałem o Andrzeju – odezwał się – dziw że nas chciał odwiedzić, tak sercem do Odrowążów przylgnął.

Ruszył ramionami. Andrzej dotknięty oblókł się swą powagą duchowną, popatrzył, nie odpowiedział.

– Nie szkodzi że pan brat tu – dodał Jaszko – tajemnic przed nim nie powinniśmy mieć, nie doszedł może do tego jeszcze aby swoich zdradzał dla obcych.

– Bracie! – odezwał się surowo Andrzej.

Ojciec dał znak Jaszкови, na który on nie wiele zważać się zdawał.

– Tak – dodał gniewnie prawie – kto nie z nami ten jest przeciw nas.

– Naprzód z Bogiem być muszę, – odparł miarkując się mistrz Andrzej.

Nie zważając już na brata, z wielką gwałtownością rozpoczął Jaszko.

– Dość mam tego życia sromotnego, – zawołał. – Kryć się muszę jak złoczyńca, wdziac mi zbroi nie wolno. – Lada urwisz Odrzywas może mnie jak zbiega pochwycić i wydać... Już mi się to psie życie uprzykrzyło!

Marek przerwał mu surowo.

– Dziękuj Bogu że cię ocalił! Czego ci się zachciewa? oszalałeś.

Oczyrna wskazał mu na drugiego syna, lecz Jaszko nań wcale nie zważał.

– Jadę ztąd precz! – rzekł stanowczo...

– Dokąd? – spytał ojciec...

Nim Jaszko miał czas odpowiedzieć, mistrz Andrzej wstał do pożegnania ojca.

– Idziesz już? – rzekł z wymówką Wojewoda.

– Mam moje godziny kapłańskie – odparł zimno Andrzej...

Jaszko się dziko uśmiechnął przez ramię nań spojrzawszy. Księdzu pilno odejść było, zdala skłonił się bratu, który się zwrócił i krzyż za nim zrobił w powietrzu.

Gdy Andrzej odszedł, Wojewoda z niechęcią i wyrzutem spojrział na syna.

– Pamiętaj, – zawołał wskazując na drzwi, – ten cię jeszcze kiedyś bronić i ratować będzie musiał, gdy ty szaleństwem swem znowu popadniesz w jaką jamę.

Wzgardliwie poruszył się na to Jaszko.

– Bóg da że ja go potrzebować nie będę – rzekł.

– Dobrze zrobił, – dodał, – iż poszedł kapłańskie pacierze odmawiać, bo lepiej żeby tego nie słuchał, co ja mam powiedzieć.

Obmierzło mi to siedzenie za piecem, – ruszam lub jutro albo dziś do Odonicza, do Światopełka, gdzie oczy poniosą, do pierwszego lepszego który będzie przeciw Leszkowi stawał.

Wojewoda wybuchnął, pięści zaciskając.

– Ty! jakiś! niewdzięczny! – krzyknął, – pójdziesz po to abyś na mnie ściągnął podejrzenie nowe, że ja zdrajcą! żeby mi starą głowę zdjęto, albo precz wyżeniono! Ty!!

Jaszko nic się nie zmieszał występem ojca gwałtownym, do podobnych będąc może nawykły, słuchał go niemal z lekceważeniem.

– Ojciec nie stanie ci się nic, jamci przecie wolny jak ptak, wedle niemieckiego słowa. – Pójdę na stracone imię.

– Pójdziesz odemnie, z mojego domu – krzyczał Marek. – Wszyscy tu o tobie wiedzą, pomówią że cię posłał. Siedz! głupcze, przyjdzie na cię czas.

– Kiedy?? Leszkaście tak mocno posadzili że on tu wiekować będzie, a póki jego tu i Iwona, dla mnie miejsca nie ma.

Leszka mi potrzeba won wyrzucić, albo lepiej – boć oni wracają wygnani.

Pokazał na szyję, jakby ją rznął. Marek uderzył go po rękę.

– Milcz! – zawołał.

Zadumał się powiedziawszy to i stanął jakby nim nagle owładnęła niepewność. Jaszko bystry skorzystał z tego mgnienia oka – i począł gorąco.

– Ty, ja, my wszyscy ile nas jest, przepadniemy czekając czegoś lepszego. Kto chce co mieć, robić musi... Odonicz i Światopełk robią a my czekamy i doczekamy się że nam głowy pobiorą... Na Leszka trzeba nasadzić wszystkich...

– Laskonogi nie pójdzie, dosyć ma do czynienia z Odoniczem, – odezwał się cicho stary.

– A Konrad? – podchwycił śmiejąc się chytrze Jaszko – myślicie że ten nie radby żeby mu uprzątnięto Leszka? Eh! eh! nie ruszy się może nań, ale i za niego nie ujmie...

A Henryk ów pobożny. —

– Z nim mi daj pokój – daj pokój! – przerwał Marek. – Ten żony słucha, a żona mu włosienicę rychlej da włożyć niż koronę. Razem mu zaufał i miałem tego dosyć. – To – baba...

– Obejdziemy się bez niego – szepnął Jaszko kusiciel widząc że ojciec uległ jego nagabaniu.

– Pójdzie z Leszkiem – dodał ojciec.

– Nie straszny on i jego Ślężacy – począł żwawiej coraz Jaszko. – Tam w domu mają co robić, bo się bracia jedzą...

Przerwał nagle i do ucha podchodząc ojcowskiego, jakby już sprawę miał za wygraną, począł sypać prędko.

– Powiecie żem krnąbrny, nieposłuszny, uciekł. – Wam nic nie zrobią. Ja muszę do Odonicza, do Światopełka – ja się tam zdam.

– A jak złapią was!

– Zjedzą lichy, – krzyknął Jaszko. – Odonicz w mniszej sukni uciekał, ja i tej nie włożę. – Łada opończa starczy! Znam drogi, wiem przechody! Możecie się mnie wypierać – a ja jeden coś zrobić mam odwagę. O głowę już nie stoję...

– Jaszko – zawołał ojciec czulej, za ramiona go chwytając – siedziećby ci i czekać.

– Nie – nie! – odparł syn – iść mi i pomódz wam i nam i sobie. Wy Wojewodą? jakim wy Wojewodą? w niewoli, w pogwałceniu!! u łada klechy pod stopą... Z tem żyć dłużej nie można...

Marek na wół przekonany zamyślił się. Jaszko bił żelazo póki gorące.

– Zniknę tak że się ani opatrzą jak się wysunę, – dodał.

– Do Plwacza nie idź – wymknęło się staremu, do Konrada nie waż mi się – ten się nie będzie śmiał do niczego wziąć. – Światopełk nasza krew, on jeden...

– No, to do niego! – odparł Jaszko, – do kogokolwiekbyś byłem się ztąd wyrwał.

Marek w obie dłonie chwycił głowę.

– Jeszcze mi tej troski brakło, – zawołał, – jakbym ich mało miał. A toć lękając się o ciebie dnia i nocy nie będę miał spokojnej!

Jaszko go w rękę pocałował.

– Śpij stary smaczno, a o mnie się nie troskaj. Jaszko sobie rady da..., a jak ja zasnuję, wy dotkacie.

Śmiał się dziko, zacierając ręce. Marek drgnął niespokojny... Zaczęli coś szeptać po cichu i siadłszy rozprawiali tak aż ich komornik wywołał obu do jadła, które na wieczór podano. Jak się skończyła rozmowa oni tylko dwaj wiedzieli, z twarzy jednak miarkować było można iż się porozumieli i stary już się synowi nie sprzeciwiał. We dworze potem żadnej różnicy od zwykłych dni nie było, ani przygotowań, ni widomego ruchu, a gdy Jaszka trzeciego dnia nie stało z kilką ludźmi, Marek Wojewoda zdał się nie wiedzieć że zniknął i nie pytał. Ochmistrzowi swemu powiedział głośno iż na łowy pojechać musiał. Tak wszyscy sądzili.

Dopiero w dziesiątek dni, gdy nie powracał, zaczęto się dowiadywać, pytać, niepokoić, szukać, a Marek udawał iż gniewnym był na syna.

Tegoż wieczora spotkali się na zamku z Biskupem, wychodząc od księcia.

– Strapienie mam, niemałe, – rzekł wzdychając do Iwona – zginął mi kędyś Jaszko, o którym wiecie żem go przez miłosierdzie przytulił. Niespokojna dusza, nieszczęśliwy człek, gnuśności nie mógł znieść, gdzieś znowu tułać się poszedł.

Biskup spojrział bystro na Marka, lecz ten twarz miał tak strapioną, iż podejrzewać go trudno było.

– Niech go Bóg strzeże – rzekł Biskup. – Źle uczynił iż się zerwał tak, bylibyśmy mu u księcia wyrobili łaskę i przebaczenie. Szkoda by się marnował.

– Zawsze krnąbrny był – dodał Marek... – W domu z nim ciężar miałem... nieraz i nasrożyć się przyszło...

– Źleby było gdyby, uchowaj Boże, do Plwacza albo do Światopełka przystał, – rzekł Biskup, – rozniosłoby się to, a drugi raz winien jużby przebaczenia nie zyskał.

– Bóg niech mnie od tego na stare dni uchowaj! – westchnął Marek...

– Z duszy życzę aby was od tego bólu Bóg miłosierny strzegł, – zamknął Iwo...

Nie mówili o tem więcej, Wojewoda do domu powrócił niespokojny. Biskup tegoż dnia przywołał mistrza Andrzeja do siebie.

– Od ojcam waszego sływał, – odezwał się, – iż Jaszko się oddalił, nie wiedzą dokąd? Andrzej pobladał, spojrział Biskupowi w oczy śmiało i z wyrazem który o prawdzie słów jego wątpić nie dozwalał, rzekł.

– Nic o tem nie wiem – Jaszko niespokojnym był i jest, ojcu go utrzymać trudno było po wsze czasy... Nie winien temu ojciec nasz...

– I ja go nie myślę obwiniać – odezwał się Iwo spokojnie. – Jaszka wszyscy znaliśmy i znamy... Lękam się aby nie wpadł w ręce wichrzycielom... Zły los go spotkać może...

Na surowej twarzy mistrza Andrzeja pokazały się dwie łzy, prędko otarte, pocałował rękę biskupią i oddalił się wzruszony.

Biskup ani nazajutrz, ni dni następnych, spotykając się z Wojewodą, już go nie pytał o syna. Tem jasnowidzeniem jakie dane jest duszom czystym, wiedział on, nie potrzebując badać, iż Jaszko uszedł do Odonicza lub na Pomorze.

Nie przywiązywał do tego zbytnej wagi, bo choć Jaszko był energiczny i jako rycerz, mimo owego pierzchnięcia z placu umyślnego, niepospolitą miał odwagę, – na nim jednym nic nie zależało. Małym się wydawał człowiekiem.

W ciągu tych dni Biskup najwięcej starym Waligórą był zajęty. – Zbierano dlań poczet ludzi, służbę której część ściągnąć musiano z Białej Góry, odziewano zaciężnych, wyszukiwano czeladź pokaźną.

Iwo choćby był chciał łożyć na to, nie miał z czego.

Dochody biskupstwa znaczne i własne mienie, ledwie starczyły mu na mnogie i nieustanne fundacye klasztorów i kościołów, którym się dziwowano, bo je z królewską szczodroblewością nadawał.

Cystersi, Norbertanie, a nawet Dominikanie, których suknie dwaj synowcowie przyoblekli, sadowili się na wsiach i ziemiach przez Biskupa Iwona nadawanych. Sarkała z początku rodzina widząc tak rozposażne mienie swoje, lecz Cesław i Jacek bratankowie już nic nie potrzebowali, Mszczuj miał dosyć, inni widząc jak Pan Bóg w rękach tych pobożnie rozrzutnych mnożył cudownie mienie – umilkli.

Mszczuj, który uległ posłuszny bratu, i przejął myśli jego, nie wahał się też własnego grosza dać na to co już za potrzebne uważał. Mała to dlań była ofiara, bo syna nie miał, a dla dwu córek zawsze dosyć zostać miało.

Ze skarbcza więc na gródku wożono nietylko sukno i odzież, ale srebro i złoto nagromadzone od tych czasów, gdy za Bolesławów pierwszych było go jak drzewa w Polsce...

Ludzie zdala patrzyli a patrzyli dziwując się co Waligóra z tym dworem i ludźmi tak po pańsku ściąganymi czynić myśli.

Jednego wieczora gdy książę Leszek z łowów z dobrą bardzo myślą powracał, a polował za Wisłą w tych klasztornych lasach, które ojcu Kaźmierzowi dozwolone były, – Wojewoda go u przewozu przez rzekę spotkał, umyślnie czy trafem, trudno wiedzieć.

Korzystał z tego iż sami chwilę byli.

– Dobrze żeś Miłość Wasza, zażył rozrywki która mu się dawno należała, – odezwał się. – Dosyć nasz świątobliwy Biskup Waszą Miłość nastracha i nanudzi, gdy doma siedzicie.

– Czyni to pewno z miłości dla nas, – rzekł Leszek, który na Biskupa mówić nic nie dawał, – niech go Bóg zdrowym trzyma na opiekę i błogosławieństwo państwu temu...

– A! świętyć jest, i za życia błogosławionym go zwać mało – odparł Wojewoda – lecz jako duchowny nawykły ludzkie myśli roztrząsać, często próżnym wyciągnionym z nich nabawi was strachem...

Leszek się uśmiechnął.

– I sam też trwoży się do zbytku, – mówił Wojewoda. – Sądzę że nie z innego powodu brata sobie do boku sprowadził, który już spoczynku potrzebował. Żal starego...

– Mówicie o Mszczuju Waligórze? – zapytał książę... Cośem sływał iż tu jest...

- Brat go przywiózł mimo woli, – dodał Wojewoda.
- Mimo woli Waligóry ściągnąć trudnoby było – odezwał się Leszek, – bo to żelazny człek...
- Nie ten już co był – wtrącił Marek...

Książę spojrział...

– Dobrze iż Biskup go ma, bo rodzinę kocha, a tej się dla Chrystusa wyrzekł całej. – Z Jacka i Cestawa pociechy mało, bo ci Bogu więcej niż stryjowi służą. Święci i to młodzieniaszkowie!

Książę głowę skłonił.

Po chwili zapytał Wojewodę.

- Co Mszczuj tu myśli poczynać, nie wiecie?
- Nikt go nie widział jeszcze – odparł Marek.
- Ani ja – potwierdził książę.

– Że mnichem za przykładem synowców nie zostanie – mówił Wojewoda – zda się pewnem, bo nie czas... a i córki ma, co pieczy potrzebują.

– Z córkami tu jest? – spytał Leszek.

– Zda się że ich tu nie ma...

Mówił potem Wojewoda o innych rzeczach, usiłując Leszkowi tak właśnie odmalować wszystko jak on mieć pragnął. Nie kazał mu się lękać niczego, lekceważąc prawić o Odoniczu, wzgardliwie o swym powinowatym Światopełku, z poszanowaniem dla Konrada.

Wtrącono coś i o Krzyżakach rycerstwie które Leszek rad był widzieć zasłyszawszy o niem wiele. Wojewoda doniósł że właśnie dwóch z nich już do Płocka pociągnęło, aby się o uczynione nadania umówić.

Tak gwarząc dojechali do zamku na Wawel a Marek zabawiwszy Leszka, wymknął się do swego dworu...

Nazajutrz książę zapytał Biskupa o brata Mszczuja, którego sławę siły i mężstwa pamiętał.

– Jest on tu, – odparł Iwo – ściągnąłem go po to aby Waszej Miłości służył. Wiernych sług pod te czasy zanadto mieć nie można. Nie potrzeba mu nic – ani tytułów ani urzędów, a można go będzie użyć gdzie drudzy nie zechcą lub nie zmogą. Wziąłem go sobie do pomocy W. Miłości do usług wiernych.

Książę podziękował.

– Bóg łaskaw, – rzekł – służba u mnie lżejszą coraz będzie... Pokój uchwalimy i używać go będziemy!!

Biskup spojrział nieśmiało na pana swego i zamilkł.

VII

Ks. Żegota miał serce litościwe, które nieraz już w życiu za chwilowe wzruszenie odboleć musiało.

Za młodszych lat gdy świeckie duchowieństwo więcej miało swobody, a śluby nie były wzbronione, przywiązał się do jakiejś biednej istoty, której teraz opuścić już nie miał siły. Nastąpiły inne czasy, – legaci papieżcy po wszystkich krajach ogłosili rozkazy wyrzeczenia się związków rodzinnych. Kościół chciał mieć żołnierzy niczem nieprzywiązanych do ziemi...

Z obawy aby wizyta dziekana lub Biskupa nie odsłoniła smutnej tajemnicy jego życia, stary proboszcz musiał swą rodzinę przenieść do osobnego domku na grodzisku, i jeszcze był po odjeździe Biskupa Iwona nie ochłonął ze strachu, gdy wypadek nowy w inny sposób zagroził spokojowi jego.

Nocą nadciągnął pod Białą Górę Otto von Saleiden z dwóma rannymi ochotnikami...

Potrzeba ich było ratować. Ks. Żegota nie umiał się oprzeć pokusie miłosierdzia, chociaż wiedział dobrze iż dając pomoc nienawistnym Niemcom, narazi się na gniew pana swojego Waligóry. Szczęściem starego w domu nie było i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nierychło zapewne miał wrócić.

Ks. Żegota, jak całe ówczesne duchowieństwo, nietylko że nie czuł żadnej w sercu niechęci dla obcych, ale szanował wszystko co przychodziło z zachodu i niosło z sobą światło.

Widok tych dwóch w pełni życia, rannych niebezpiecznie i narażonych na zgubę chłopaków, jeżeliby im kto nie dał przytułku – poruszył do głębi starego księdza.

Nazajutrz gdy wysłany szukać obozu pachołek, powrócił prowadząc z sobą Konrada von Landsberg; – a ten zobaczył w jakim stanie byli dwaj chłopcy, uniósł się naprzód na nich gniewem wielkim, potem na towarzysza, brata Ottona, że na szaleństwo to pozwolił, naostatek zakrzyczał wielkim głosem, – iż, choć Gero był jego bratankiem, ale ani dla niego ani dla Hansa nie myśli się w podróży wstrzymać i tracić czasu, gdy nań w Płocku oczekiwano.

Otto uczynił mu uwagę, że tak przecież wpośród drogi dwóch ziomeków porzucić niepodobna, w kraju w którym mogli uleść napaści jakiej bezbronni, albo nawet zemrzeć chorobą i głodem.

– Niech giną, kiedy sami się na to wystawili, – wołał nielitościwy Konrad. – Sprawa zakonna nam powierzona idzie przede wszystkim...

Tak się to mówiło w pierwszym zapale gniewu, lecz gdy przyszło spełnić groźbę – i sam nieubłagany Konrad wahać się zaczął. Wieść za sobą dwu rannych, a szczególnie Hansa, który, choć mu ranę opatrzone, dostał gorączki i straciwszy przytomność majaczył – było niepodobieństwem...

Gero lżej ranny, choć na nogę stąpić nie mógł, z biedy na koniuby się wlec był gotów, ale towarzysza Hansa, po rycersku odstąpić nie chciał i oświadczył stryjowi, że los jego dzielić będzie...

Ks. Żegota który rano zbiegł był z grodu do szopy, zobaczyć co się działo z rannymi, przy których kwiatkami sobie włosy przystroiwszy Dzierła siedziała, – przytomny był wrzawliwej scenie między Konradem, Ottonem i Geronem...

W ostatniej chwili, gdy już do stanowczego jakiegoś kroku przyjść miało, Konrad von Landsberg zobaczył starego księdza...

– Ależ to nie może być – ażeby w kraju który się chrześcijańskim zowie, rannemu biedakowi odmówiono przytułku! – zawołał.

– Wszędzie go znajdziecie, a szczególnie po klasztorach, w których ochotnie przyjmą chorego i pielęgnować go będą – rzekł ks. Żegota – wszędzie, tylko nie tu u nas!

Wskazał na zamek w górę.

– Jakto! cóżto, poganie go zajmują? – zawołał Konrad.

– Nie – ale pan nasz nie przyjmuje obcego nikogo, nigdy... – odparł ksiądz. – Taki sobie ślub uczynił. Nie ma go nawet na grodzie, a bez niego nie ważyłby się nikt...

Konrad burzyć się zaczął na to.

– Co tam gród! pan! – zawołał – wy jesteście osobą duchowną, wy żadnemu panu nie ulegacie. Wasz pan jest tam gdzie i nasz, w Rzymie! Weźcie go do swego domu... do niego nikt nie ma prawa!

– Mój dom jest na grodzie – odparł ksiądz przestraszony – a gdyby *Comes* się dowiedział zem ja obcego przyjął, możeby razem z nim wyrzucił...

– Przecie go w domu nie ma...

– Ho! – ho, jest Podżupan! – rzekł ks. Żegota...

Stało się chwilowe milczenie. – Konrad namarszczywszy się, już nie rozprawiając, nie sporząc poszeptał coś Ottonowi, zbliżył się do synowca Gerona, któremu długo coś w ucho kładł, potem sam na koń siadł i Ottonowi a pachółkom dał znać aby toż uczynili. Gdy wszystko było do odjazdu gotowem, dumny Krzyżak podparłszy się w bok, podjechał ku ks. Żegocie.

– Słuchaj, ojcze – rzekł tonem nakazującym – czas u mnie drogi – tracić go na spory i gadaninę nie mogę... Zostawiam tu tych rannych... na łaskę Bożą... Zginą – odprawią za nich nabożeństwo kapłani nasi! ale wy będziecie mieli ich na sumieniu – róbcie sobie z niemi co chcecie – ratujcie, porzućcie, to wasza sprawa. Ja zmuszony jestem zdać się na was.

Mądry Krzyżak mówiąc to czuł bardzo dobrze iż ksiądz nie będzie miał serca rannym dać ginąć.

Jeszcze raz dwaj starsi ku leżącym pod szopą, obrócili się coś szwargocząc, potem Konrad rzucił parę słów Geronowi, i tęgim kłusem wszyscy popędzili do obozu zostawując Gerona i Hansa samych pod dozorem baby i – księdza.

Na chwilę rozpacz ogarnęła ks. Żegotę, załamał ręce, zawołał.

– Jezu miłosierny, ratuj! co ja tu pocznę!...

Chciał uciekać na gród, zrobił krok, i litość go wzięła – zatrzymał się, zwrócił, podszedł do Gerona, który przytomny z nogą obwiązaną siedział, nie straciwszy młodzieńczej jakiejś odwagi i ufności...

Dzierła z nadzwyczajną pilnością czuwała nad Hansem, którego to jakimiś ziołami, warzonemi w garnuszkach poiła, to go okrywała, to mu coś jak dziecku po cichu nuciła i chudemi rękami znaki jakieś robiła nad nim...

– Nielitościwi ludzie! nielitościwi! – zawołał ksiądz do Gerona – otóż was opuścili...

Ciężki chód koni krzyżackich tętniał coraz się oddalając.

– No – a litościwi się znajdą co nas przytulą! – odparł Gero, spoglądając na niego... – Juźciż w tej szopie otwartej na cztery wiatry porzucić nas byłoby srogiem barbarzyństwem, bo, ja jak ja, ale Hans tu do tygodnia, gdy go chłód nocny obejmie – zginie marnie...

– Szopę chyba oprawić trzeba! – szepnął ksiądz, – bo do zamku ani myśleć... Zrobię co mogę. Gero ruszył ramionami.

– Ojcze – rzekł śmiało, – ja ufam że wy coś wymyślicie...

Ks. Żegota nie mówiąc nic – głowę potrząsając, chodził i coraz to stawał nad Hansem.

– Dzierła, – odezwał się do baby pół głosem – może on żyć?

Zapytana przybrała minę wyroczni, spojrzała na chorego, przyłożyła mu rękę do czoła, wskazała na grubo obwiązaną nogę, rozpostarła ręce, podniosła je do góry... – westchnęła...

– W dobrej izbie, na posłaniu wygodnem, jakby go noc i dzień nie odstępować – poczęła żywo – czemu by nie miał żyć? Czyto z takich ran ludzie wychodzą? A pamiętacie Dziubę co mu wnętrzości trzeba było wkładać nazad do brzucha, przecie żyw, albo Giełbę co dwa razy nogę miał złamaną, albo Tyrka, któremu kości z boku wyłaziły? A ten młody i śliczny chłopiec ma jeszcze życia tyle! Czemu by nie miał żyć?

Zamyślił się ksiądz.

– Przyjdę wieczorem – szepnął Geronowi – i tak go porzucił.

Na grodzie, gdzie od lat wielu o obcych ani słyszano, ani ich widziano, ciekawość była wielka, gorączkowa. Nad ostrokołami naprzeciw szop wisieli ludzie patrząc czy co nie zobaczą, choć nie wazyli się iść bliżej. Ks. Żegota gdy powrócił, obleżono go pytaniami.

Ale stary pomruczał coś niewyraźnie, opędził się natrętom, i oświadczył podzupanowi Teleszowi, że owi ranni co leżeli pod szopą najdalej nocą opuszczą ją i pojedą w świat, bo tu oni nie mają co robić.

Ze wszystkich ciekawych najciekawsze były na gródku, dwie piękne Halki. Ojciec im zawsze Niemców jak najdziksze zwierzęta malował, mówiono o tym narodzie wiele co budziło pragnienie poznania tego stracha i dziwadła.

Wiedziały dziewczęta że plemię to straszne, odziewało się wytwornie, umiało wiele rzeczy których inni nie zdołali robić... że było przebiegłe, złośliwe a mądre.

Trafia się często że to co zozydzić komu pragniemy, właśnie dziwną w umyśle ludzkim sprzecznością nęci i pociąga.

Dziewczęta strasznie się lękając Niemców, niezmiernie jednak widzieć choć jednego z nich życzyły sobie. Tu właśnie nastęczała się zręczność.

Gdy ksiądz wrócił z pod szopy obie Halki nim doszedł do swojego dworku, drogę mu zastąpiły. Ksiądz Żegota, który na nie patrzył jak rosły i od dzieci prawie je wychowywał, co je uczył pacierzy, modlitw i pieśni, a kochał jak swoje, był dla nich słabym – czyniły z nim co chciały. Dość żeby mu się uśmiechnęły, a szczebiotać poczęły, stary zapomniał o wszystkim...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.